

MOJE MIASTO



www.mojemiasto.slupsk.pl

Nr 5 (190) 5 marca 2011

ISSN 1644-4507

**Motto**

Małżeństwo to bardzo sprawiedliwe urządzenie: żona musi codziennie gotować, mąż musi codziennie jeść.

(Alberto Sordi)

Palikot w Słupsku

str. 4.

Tchnienie sportu

str. 7.

Wiarusy

str. 8.

Rok 45 na Pomorzu

str. 11.

Gabinet Medycyny Estetycznej

Słupsk, ul. Kotarbińskiego 7/1

- BOTOX
- WYPEŁNIANIE ZMARSZCZEK
- MODELOWANIE UST I POLICZKÓW
- REWITALIZACJA DEKOLTU I DŁONI
- LIKWIDACJA NADPOTLIWOŚCI PACH

Zapraszamy Panie i Panów

Rejestracja: tel. kom. 505 905 196



ALKO

rolety okienne

Słupsk, ul. Tuwima 23, tel. 59 84 20 600, biuro@alko.com.pl

www.oktanpomorze.pl



Stacje paliw



Sprzedaż
detaliczna i hurtowa
paliw
Dystrybucja
oleju napędowego
i opałowego

Słupsk
Wrocławska 45
tel. 059/842-55-32
Słupsk
ul. Westerplatte 7
tel. 059/848-10-63
Słupsk
ul. Portowa 10
tel. 059/846-86-65
Trzebielino
tel. 059/858-02-49
Nowa Dąbrowa
Nowa Dąbrowa 1 B
tel. 059/811-34-78

Słupsk,
tel. 501 334 323



Tomcio

UWAGA kierowcy zawodowi

kwalifikacja wstępna
szkolenia okresowe

kat. B, B+E, C, C+E

www.naukajazdy.slupsk.pl



Adkonis

Ferma kur, gospodarstwo rolne

Sprzedaż jaj



Robert Adkonis, Kwakowo
tel. 59 846 25 11

Zabrać nawet zmarłym

Od 1 marca obniżono zasiłek pogrzebowy z 6 tys. 395,70 zł. do 4 tys. zł. Motywacja resortu finansów, który zaproponował obniżenie zasiłku pogrzebowego była co najmniej pokrewna. Bowiem tłumaczono, że ma na celu dostosowanie wysokości polskiego świadczenia do średniej wysokości tego zasiłku w innych krajach Unii Europejskiej. Co jest oczywiście ewidentnym kłamstwem i wprowadzaniem opinii publicznej w błąd.

Rząd ustami ministra finansów argumentuje to tym, że w wielu krajach europejskich ów zasiłek jest niższy od polskiego, a nasz jest jednym z najwyższych, a np. w takich Niemczech nie ma go w ogóle.

Tylko co ma piernik do wiatraka. Bo jeżeli taka argumentacja byłaby prawdziwa, to co najmniej równocześnie nasz „ukochany” rząd powinien również uśrednić place. A takich pokus chyba nie ma.

Tak naprawdę intencją rządu Tuska było wyrwanie następnych pieniędzy od obywateli. Tym razem tych, którzy umarli, a wprost od ludzi dotkniętych tragedią utraty członka rodziny - bo to oni dopłacają. Jest to precedens, mający, szczególnie w Polsce, bardzo niskie pobudki etyczne. Moim zdaniem rząd zachował się jak typowa „hiena cmentarna”. Takim terminem określamy kogoś, kto okrada zmarłych. Zrobiono to dla marnych, jak na budżet państwa 800 mln. złotych. Ludzie nie protestują, bowiem to świadczenie praktycznie nikogo w chwili jego wprowadzenia nie dotyka. Rodzina dowie się o tym dopiero w chwili śmierci osoby bliskiej, gdy trzeba będzie dopłacić do pogrzebu co najmniej 2300 złotych.

To prawda, że w Europie wysokość zasiłku pogrzebowego jest zróżnicowana. Są kraje, w których on zupełnie nie funkcjonuje lub jest znacznie niższy niż w Pol-

sce. Jego wysokość związana jest jednak z panującym w danym kraju z systemem emerytalnym i pewną tradycją.

W krajach europejskich obok podstawowego, funkcjonują inne systemy emerytalne i ubezpieczeniowe, które zapewniają rodzinie zmarłego pomoc finansową w razie śmierci osoby bliskiej. Są to albo kapitałowe systemy emerytalne, które po śmierci wypłacają nadwyżkę z konta ubezpieczonego, albo specjalne kasy pogrzebowe, które w związku z funkcjonowaniem, od wielu lat, niskich zasiłków pogrzebowych, przyjęły się w świadomości ludzi, którzy gromadzą sobie w nich pieniądze na pochówek. W dawnej Polsce ludzie starsi zbierali pieniądze na pogrzeb. Pamiętam, że robiła to moja babcia, która z przyzwyczajenia ze swojej „reżymu” odkładała co miesiąc po kilka groszy.

Po wojnie powszechność i długoletnie wypłacanie zasiłku pogrzebowego wytworzyło w Polsce inną tradycję. Uwarunkowana ona była jednolitym, repartycyjnym, a więc nie kapitałowym systemem emerytalnym. Nikt już nie gromadzi pieniędzy na swój pogrzeb, bo państwo wypłaca po śmierci ubezpieczeniowego niejako ostatnią emeryturę, którą jest zasiłek pogrzebowy. Jest to o tyle sprawiedliwe, że później ewentualna nadwyżka uzbierana przez całe życie przez zmarłą osobę i tak przechodzi na skarb państwa. Zasiłek w Polsce jest jednakowy dla wszystkich i wynosił do tej pory dwie średnie place - ostatnio 6395,7 złotych.

Za tę kwotę rodzina mogła należnie pochować zmarłego i nadać obrządkowi pogrzebowemu godny charakter. Firmy cmentarne i pogrzebowe, tak kształtowały swoje koszty, aby pogrzeb „mieścił” się w zasiłku pogrzebowym.



W tej chwili ciężar obniżki zasiłku pogrzebowego spadnie na najbliższych. Pół biedy, jeżeli rodzina jest dobrze sytuowana. Niewątpliwie w Polsce, po tej kuriozalnej decyzji rządu, nie tylko będziemy mieli rozwarstwienie ekonomiczne za życia ale i po śmierci.

A można było inaczej. Chociażby zróżnicować zasiłek w zależności od sytemu ubezpieczeniowego do jakiego należała osoba zmarła. Z czasem ludzie dostosowali by się do nowych zwyczajów proponowanych przez PO. Tylko, że to by nie dało natychmiastowych efektów budżetowych. A przecież dla PO budżet jest najważniejszy.

Zmiany dotyczą głównie ludzi starszych - bo ci najczęściej umierają. A im nie jest obojętne jaki będą mieli pogrzeb. Są oni niestety tylko na garnuszku polskiego ZUS-u. Gdyby byli Holendrami - należałby się (w przeliczeniu na zł.) zasiłek ponad 10 tys. Gdyby byli Francuzami zasiłek w złotych wynosiłby około 15 tys. Przykład ten jest adekwatny, bo tylko te kraje można porównać z Polską, ze względu na podobne powszechne systemy emerytalne. Ale tamtym rządowi nie w głowie obniżanie zasiłków pogrzebowych.

Andrzej Obecny
obecnypoczta.onet.pl

Rzecz o sumieniu

Często i nawet bez konkretnego powodu mówimy „człowiek bez sumienia” czy też „czy on nie ma sumienia”. Zawsze wypowiadamy to w kontekście niedobrych i tragicznych wydarzeń. Co to jest sumienie? Jakimi kieruje się mechanizmami? Czy jest w każdym z nas? To są pytania podstawowe, jakie postawiłam przed sobą i Tobą Czytelniku „Mojego miasta”. Z mojego punktu widzenia chcę zmierzyć się z tym niezwykle trudnym zagadnieniem. Nie tylko po to, by coś komuś udowodnić. Ale po to, by odkryć właściwy wymiar sumienia, które we mnie jest.

Co to jest sumienie. Według mnie sumienie jest naturalnym mechanizmem naszego ludzkiego hamulca moralnego i etycznego. Ten hamulec powstrzymuje nas przed posunięciami zbyt drastycznymi i społecznie oraz etycznie niezgodnymi z zasadami, normami i wartościami. Sumienie jest ludzkim wyznacznikiem równowagi pomiędzy tym, co pożądane i dobre, a tym co jest nie pożądane i prowadzi do zła. Jest potrzebne każdemu człowiekowi. Kształtuje się ono w człowieku do trzeciego roku życia. Dlatego jakże ważny jest dla jednostki ten najwcześniejszy okres jego istnienia. Jakież zatem ma fundamentalne znaczenie.

Nie tak dawno ktoś powiedział mi w luźnej rozmowie takie oto słowa „musi być zło, aby było dobro i musi istnieć dobro, aby zwalczać zło”. Te bardzo refleksyjne słowa zapadły mi w pamięć i stały się motywem do podjętej przeze mnie w tym felietonie tematyki ludzkiego sumienia. Dobro i zło. Dla każdego człowieka wymiar dobra i wymiar zła będą w innej skali wartości.

Wyobraźmy sobie taką hipotetyczną sytuację. Na świecie zapanowało samo zło. Ludzie pozbawieni zostali sumienia. Zatarły się wszelkie granice ludzkiego humanitaryzmu. Nie istnieje nawet drobina czy namiastka dobra. Jest to świat wszelkiego okrucieństwa, obojętności na ludzką krzywdę. Czy będziemy w takim świecie potrafili się odnaleźć? Czy będziemy w stanie w ogóle egzystować? To są pytania, które pozostaną bez odpowiedzi.

Zapowiedź takiego świata mieliśmy w obozach koncentracyjnych i sowieckich łagrach. Jednak i w tym do szpiku kości złym świecie, gdzie zło posiadało najwyższe z możliwych stężeń, spłotką można było czasem dobro. Dobro w postaci pomocy, dobrego słowa czy duchowego wsparcia. Te dobro przebijają się przez ciemność wszechobecnego zła jak przez stalowy pancerz, który wydawał się nie do przeniknięcia, który był trudny do zdobycia. Dobro poprzez bardzo wąskie ścieżki przedzierało się w tym mroku ciemności i zła i tworzyło swego rodzaju płaszczyznę ochronną nad szalejącym złem ziemskiego piekła. Dobro dawało okruszki maleńkiej nadziei na przeżycie tego piekła i panującego w nim zła. Budziło się uśmiercone czy też uśpio- ne ludzkie sumienie. Sumienie, które w obliczu panującego wszędzie zła nie potrafiło nadawać na dobrze mu znanych częstotliwościach fal emocjonalno - uczuciowych. Te sumienie, które w minionym istnieniu było zbudowane w poczuciu miłości, dobra i szacunku do siebie i innych. Nawet w tym beznadziejnie okrutnym świecie zła bardzo powoli przedzierało się maleńkie światło dobra, które nigdy nie



umarło. I przetrwało piekielne zło. Było to możliwe, bo w człowieku pozostała, pomimo wszystko, szczypta sumienia, która nigdy nie zamiera.

Więc, aby mogło zapanować na świecie dobro, musi być też szczypta zła. Nie ma innej alternatywy. Nie ma innej opcji. Ludzkie sumienie jest i już na zawsze pozostanie swoistym regulatorem postępowania człowieka. Ten moralny hamulec pozwala na utrzymanie swego stanu równowagi moralnej i etycznej postępowania człowieka. Wyznacza mu określone granice tego postępowania. Pozwala nie przekraczać cienkiej granicy pomiędzy dobrem a złem. Pomiedzy tym, co społecznie jest akceptowane, a tym, co społecznie jest potępiane. Sumienie jest duchowością każdego człowieka. Jest esencją ludzkiej egzystencji i ludzkiego człowieczeństwa. Jest tym najważniejszym ogniwem łączącym ludzką duchowość i ludzkim racjonalizmem.

Podobnie, jak wszyscy, posiadam także sumienie. Jest ono znaczącą wysuniętą na stronę dobra. Dobra względem drugiego człowieka. Nie wszyscy to dostrzegają. Ci, co to dostrzegają, są szczęściarzami, bo dotykają esencji niewidzialnego we mnie dobra.

Agnieszka Dul

Mniej barier administracyjnych

Naprawa obowiązujących przepisów prawa gospodarczego poprzez redukcję nadmiernych obciążeń finansowych i biurokratycznych stanowi, jak pokazują doświadczenia międzynarodowe, kluczowy impuls dla przedsiębiorców i ułatwia przetrwanie okresu dekonunktury. Jest również jednym z najlepszych sposobów, często bezkosztowym, na wyzwolenie sił i mechanizmów rozwojowych. Takie podejście jest podstawą zmiany filozofii tworzenia prawa, w szczególności tworzenia innej relacji na linii państwo - obywatel.

Na przedostatnim posiedzeniu Sejmu przyjęto ustawę o ograniczaniu barier administracyjnych. Do wielu ustaw wprowadzono zmiany mówiące o możliwości do składania oświadczeń zamiast konieczności starania się w rozmaitych urzędach o ponad 200 różnego rodzaju zaświadczeń. Przedsiębiorca i obywatel będzie mógł sam złożyć stosowne oświadczenie, będzie to jego prawo. Natomiast jeśli zechce będzie mógł w dalszym ciągu zwrócić się o wydanie zaświadczenia. Według nowych za-

sad będzie można złożyć oświadczenia np. o dochodach - przy ubieganiu się o świadczenie rodzinne, o uczęszczaniu dziecka do szkoły lub na studia. Nie trzeba będzie składać w kontaktach z organami administracji publicznej zaświadczeń o wpisie do ewidencji działalności gospodarczej lub zaświadczeń - wpisów, odpisów - o wpisie do rejestru przedsiębiorców w KRS w sytuacji, gdy numer w odpowiednim rejestrze udało się przenieść do wniosku. Uchyłono obowiązek przedkładania w kon-

taktach z organami administracji publicznej zaświadczeń o nadaniu numerów NIP i REGON w sytuacji, gdy odpowiednie numery znalazły się we wniosku.

Dokonano również zmiany zaświadczenia o niekaralności na oświadczenie w tych przypadkach, gdy posiadanie takiego zaświadczenia nie jest uzasadnione ze względu na nadrzędny interes publiczny. Dokonano zmiany oryginałów urzędowo poświadczonych odpisów świadectw, dyplomów, aktów stanu cywilnego urodzenia, zgonu itp. na kopie dokumentów potwierdzających wykształcenie lub kopie odpisów aktu stanu cywilnego. Uprosz-

czenie przepisów w tym zakresie pozwoli posługiwać się obywatelom kopiami dokumentów, których oryginalne wersje wydawane są w ograniczonej liczbie, a uzyskanie każdego odpisu jest kosztowne i czasochłonne. Zamiast obowiązku przedkładania zaświadczeń o dochodach, niezaleganiu z płatnościami wobec urzędu skarbowego i składkami do ZUS wprowadzono możliwość składania oświadczeń.

Teraz ustawa trafi do Senatu, a następnie na biurko prezydenta. To mniej medialna parlamentarna rzeczywistość, a szkoda bo ważna dla każdego z nas.



Zbigniew Konwiński
Poseł na Sejm RP

Bajka trupami usłana

Dawno, dawno temu kiedy to jeszcze honor w jakiejś takiej był cennie, chodziło sobie porzekadło o pluciu, świni i deszczu. Dziś ta mądrość narodu potwierdzać się zdaje jak nigdy wcześniej w historii. Każdy średnio rozgarnięty wie nie od dzisiaj, że świnię najłatwiej przy korycie znaleźć. Zatem szukajmy. Już w lutym 2009 roku w bajce o seryjnym samobójcy pisałem o kilku podejrzanych przypadkach „dobrowolnego” zostania się z tym najlepszym ponoć ze światów. Wtedy jednak samobójstwo posłanki Barbary Bliidy, polityka Ireneusza Sekuły czy Jeremiasza Barańskiego, bezwzględniego zwanego Baraniną gangstera i mordercy ministra Jacka Dębskiego uchodziły za naturalne zejścia. Także w sprawie „samobójczej” śmierci Woj-

ciecha Franiewskiego, Roberta Pazika i Sławomira Kościuka - aresztowanych bandziorów i oprawców Krzysztofa Olewnika - nasz aparat ścigania oraz prawa i sprawiedliwości wszelkiej, wla- czał nam coraz bardziej niedorzeczne wersje samobójczej śmierci tych osób. Jeżeli jednak taką samą śmiercią ginie, powiązany rodzinie z Pazikiem, strażnik więzienny Mariusz K., który wcześniej doglądał troskliwie Franiewskiego i Kościuka, to w grzyby musi zaważyć cała struktura tego wielopiętrowego, bardzo grubą nicią szytego, kłamstwa. Dziś, kiedy głośno już ćwierkają wszystkie wroble, że przynajmniej części tych „samobójstw” nie da się przypisać nieboszczykom, nasz aparat sprawiedliwości nie robi nic aby wyjaśnić okoliczności, znaleźć i ukarać za-

równo sprawców jak i wysoko postawionych ich mocodawców. O tym jak wysoko, stoją mocodawcy świadczy niezabicie fakt, że nawet sędziowie nie reagują na przestępce porozumienia podsądnych obrońców i oskarżycieli, a do poświadczania nieprawdy przysmuszani są również lekarze. Pod osłoną nocy w niewiadomym kierunku i celu wywozi się osadzonych, fałszuje się sekcje zwłok i podmienia w kostnicach denatów. Jak wieść niesie, ponoć powrozy dla siebie kręci już dwóch następnych „samobójców” - Jerzy Godlewski znany detektyw i Artur R. zwany w branży „Benkiem”.

Dodatkowego kolorytu nadaje sprawie fakt, że były minister i prokurator generalny w jednym, chluba prawa i sprawiedliwości Zbigniew Ziobro, na zbitą twarz wywalił z roboty prokuratora, który osmielił się zajmować problemem zamieszanego w sprawę Olew-

ników detektywa Rutkowskiego, bli- skiego skądinąd kumpla Ziobry. Prokurator Pałka „powiesił się” tuż po przyznaniu, że sprawę umorzył na polecenie przełożonego. To wszystko świadczy dobitnie, że Polska już nie jest państwem prawa a gangster i morderca są przez instytucje prawa chronieni, niekiedy kosztem życia ich szeregowych żołnierzy a nawet funkcjonariuszy państwowych. Rzecz jednak nie w tym, że nasz aparat ścigania i wymiaru jest skorumpowany, wszak przy każdym korycie może się trafić parszywa świnka. Rzecz jednak w tym, że jak mawiał pewien kościelny klasyk o dziennikarzach „pieski szczekają a karawana idzie dalej”. Nas jedzących normalnie, z fajansowego talerza, oburza przede wszystkim brak jakiegokolwiek reakcji władzy na ten trąd szerzący się w pałacu sprawiedliwości Rzeczypospolitej. Gdzie się chowają przed opinią

społeczną, rozdzieleni teraz jak bracia syjamscy, Minister Sprawiedliwości i Prokurator Generalny. Gdzie nasz kochany premier, który z blasków powodów dymisjonować raczył poprzednika obu panów. Opinia społeczna pluje władzy w twarz, dziennikarze śledczy przedstawiają publicznie dowody mactwa, przekrętów i zbrodni, a rządowa karawana maszeruje uważając, że deszcz pada. Każdego tygodnia, dnia nawet, Sejm, Senat i Rząd a także co bardziej uczesni ich członkowie, organizują dziesiątki konferencji prasowych po to tylko, żeby zaistnieć na szkle, w eterze i prasie, choć zgola nic do powiedzenia nie mają. W sprawach dotyczących przestrzegania prawa a raczej jego nagminnego łamania, obo- wiazuje jakaś zмова milczenia i tylko dzięki przekupności urzędasów i staniom dziennikarzy, przecieki jakieś do pospólstwa trafiają. Nawet w smo-



leńskiej mega aferze, co chwila pojawiają się nowe, skrywane przed społeczeństwem wątki a skończy się to pewnie totalnym blamażem. (W materiale wykorzystano ustalenia śledczego dziennikarza „Angory” Pana Leszka Szymowskiego.

Tadeusz Gawlik
tadgaw@wp.pl

Mąż na godziny

Tzw. mąż do wynajęcia to usługa ciesząca się w Polsce coraz większą popularnością. "Niby mąż" naprawi ciekący kran, skosi trawnik, odbierze dziecko ze szkoły, zabije karpia na Wigilię, a nawet zaprojektuje wnętrze domu. Innymi słowy zrobi wszystko to, czego domownicy z takich czy innych względów sami zrobić nie mogą. Pod medialną nazwą "męża na godziny" tak naprawdę kryje się wszechstronny fachowiec - "złota rączka".

Pomysł na ten nietypowy biznes zrodził się w Permie na Uralu, gdzie pewna firma zaczęła oferować takie usługi. Szybko okazały się hitem. Potem pomysł zaczęto wcielać w Moskwie.

Kiedy media zaczęły nagłaśniać sprawę, pomysł podchwyciły inne firmy na całym świecie, także w Polsce. Także u nas usługi te cieszą się dużą popularnością. Jak grzyby po deszczu powstają co rusz nowe firmy oferujące wykonywanie prac, które z reguły powinny należeć do mężów.

Tzw. „mąż na godziny” wydaje się świetnym rozwiązaniem dla tych, którzy z różnych względów nie radzą sobie z domowymi obowiązkami.

Pan „niby mąż” nie zaspokoi naszej żądzy, nie pójdzie z nami na romantyczną kolację przy świecach, ale naprawi ciekący kran, zabierze psa do weterynarza, skosi trawnik. Zrobi wszystko za nas: szybko, sprawnie i co najważniejsze - taniej niż gdybyśmy zywali profesjonalne firmy do każdego z tych zadań. I choć usługa powstała z myślą o kobietach, to panowie stanowią niemal połowę klientów takich firm.

Liczba świadczonych usług jest duża i szczegółowa. Zainteresowani klienci mogą też negocjować cenę. Bywa, że oferowane są rabaty przy stałych zleceniach. Istnieją też firmy, które oferują zniżkę przy wykonywaniu następnej usługi, jeśli polecimy firmę, z której usług korzystamy, innej osobie. Usługi „mężów” są często tańsze niż wizyta specjalisty w danej dziedzinie, np. hydraulika czy elektryka.

„Mężowie na godzinę” każdorazowo poszerzają zakres wykonywa-

nych zadań. Na jednej ze stron takiej firmy przeczytać możemy: „Jeśli jest coś, czego nie robimy to na pewno znamy kogoś, kto zrobi to bardzo dobrze!”. „Niby mężowie” wykonują usługi hydrauliczne, elektryczne, remontowe, sprzątające, ogrodnicze. Podłączają sprzęt, wymieniają żarówki, pomalują mieszkanie.

„Jesteśmy po to, by sprawy odkładane na później były realizowane od razu. Oferujemy wszystko na co statystyczny polski mąż nie ma czasu lub ochoty”. - w taki oto sposób jedna z firm zachęca do korzystania ze swych usług.

A jaki jest koszt takich usług? Ceny uzależnione są od stopnia trudności zadania do wykonania i wahają się w granicach od kilkunastu do kilkudziesięciu złotych. Najdrożej jest w Warszawie. Za 15 zł „mąż” odbierze dzieci ze szkoły, za 80 zł zawiezie auto na przegląd techniczny, za 45 zł skosi trawę, za 50 zł umyje okna, za 100 zł przepchnie toaletę, a za 150 zł zamontujeabinę prysznicową. Firma „MAŻnieMAŻ” wycenia godzinę swojej pracy na 48 zł. „Mąż Na Godziny” natomiast na 45 zł i nie pobierze dodatkowej opłaty za dojazd. Na stronach firm znajduje się lista telefonów do koordynatorów regionalnych. Wystarczy zadzwonić i powiedzieć, co jest do zrobienia i umówić się na dogodny termin.

Na stronie „Faceci z Wenus” przeczytać można, iż firma nie zajmuje się tylko drobnymi naprawami. Panowie oferują także pomoc w przedsięwzięciach, którymi zazwyczaj zajmują się wyspecjalizowane firmy. Mąż na godziny zapewni nam fachowe wsparcie przy zakupie tudzież sprzedaży nieruchomości, pomoże zaprojektować dom, wnętrze



domu, zorganizuje imprezę towarzyską, zaprojektuje stronę WWW, a nawet nauczy nas gotować. Wchłazarz oferowanych usług jest bardzo szeroki. Z mężem na godziny można nawet chodzić na zajęcia do szkoły rodzenia - pod warunkiem, że ojciec dziecka wyrazi na to pisemną zgodę.

Od ponad roku takiego „męża na zlecenie” możemy wynająć także w Słupsku bowiem podobną działalnością para się pan Damian Sowa, słupszczanin. W ofercie znajduje się m.in. montaż i ustawianie anten satelitarnych, instalacja komputera, montaż oświetlenia, montaż i demontaż mebli. Ponadto pan Damian chętnie wymieni koło w samochodzie, zrobi drobne zakupy, wymieni zamki w drzwiach, a nawet pomoże w napiciu CV i listu motywacyjnego.

Pan Damian chce również wprowadzić dodatkową usługę „Żona na zlecenie”. Usługa „Żona na zlecenie” jest uzupełnieniem usług wchodzących w skład „Męża na zlecenie”. - mówi pan Damian... W ofercie „żony” można odnaleźć usługi takie jak: sprzątanie, mycie okien, pranie, prasowanie, robienie zakupów i inne czynności które najczęściej należą do obowiązków żony.

- Usługi te są jeszcze w fazie rozwoju, - mówi pan Damian, a mniejsze zapotrzebowanie na nie wynika z tego, iż większość osób stara się samodzielnie wykonać tego typu prace.

Oferta „Mąż na zlecenie” i „Żona na zlecenie” oferowana jest obecnie mieszkańcom Słupska i okolicznych miejscowości. Niewykluczone, iż w przyszłości będzie dostępna również w innych miastach w Polsce.

Magdalena Majchrzak

Do każdego klienta podchodzę indywidualnie

Rozmowę z panem Damianem Sową, założycielem usługi „Mąż na zlecenie” oraz „Żona na zlecenie” przeprowadziła Magdalena Majchrzak.

MM: Skąd pomysł założenia takiej działalności?

Damian Sowa: Pomysł na ofertę usług „Mąż na zlecenie” pojawił się pod koniec 2009 roku. Zastanawiałem się wówczas co można byłoby zaoferować potencjalnym klientom, by trafić do szerokiej grupy odbiorców i na jakie usługi mogłoby być zapotrzebowanie. Było to związane również z planami rozszerzenia działalności firmy.

Pojawił się pomysł, iż właśnie kompleksowe usługi dla domu mogłyby być ciekawym i dobrym pomysłem. Wtedy też zapadła decyzja, iż nazwa powinna zawierać w sobie coś, co przyciągnie uwagę i będzie łatwa do zapamiętania, a jej bezpośrednim odpowiednikiem będzie adres strony internetowej. Mając na uwadze to, iż coraz więcej osób korzysta z internetu, została zarejestrowana domena internetowa MażNaZlecenie.pl, na której przedstawiamy i na bieżąco aktualizujemy listę oferowanych usług.

MM: Co oferuje Pan swoim klientom?

DS: Oferta usług jest bardzo szeroka, począwszy od usług naprawczych (głównie hydraulicznych i elektrycznych), remontowych, montażu mebli po usługi związanych z komputerami i sprzętem RTV/AGD.

Można powiedzieć, że staramy się wykonywać większość prac, z którymi ludzie borykają się we własnym domu czy biurze. Nie każdy ma czas, by wszystko zrobić samemu lub też nie dysponuje odpowiednim sprzętem bądź umiejętnościami.

Do każdego klienta podchodzę indywidualnie, starając się zrozumieć jego potrzeby, by dzięki temu sprawnie i rzetelnie wykonać zleconą pracę. Zamierzam także uruchomić usługę „Żona na zlecenie” będącej uzupełnieniem usług wchodzących w skład „Męża na zlecenie”. W ofercie „żony” można odnaleźć usługi takie jak: sprzątanie, mycie okien, pranie, prasowanie, robienie zakupów. Usługi te są jeszcze w fazie rozwoju.

MM: Czy Pańskie usługi cieszą się w Słupsku popularnością? Kto stanowi większą grupę klientów: mężczyźni czy kobiety?

DS: Usługi cieszą się coraz większą popularnością, choć jeszcze wiele osób mieszkających w Słupsku o nich nie wie, gdyż oferowane są stosunkowo krótko.

Większą grupę klientów stanowią kobiety, które potrzebu-

ją mężczyzny do wykonania różnych prac w domu, które zdecydowanie należą do obowiązków panów.

Zdarzają się też i panowie, którzy nie mają czasu, nie chcą wykonać czegoś samodzielnie lub po prostu nie posiadają odpowiedniego sprzętu czy umiejętności by wykonać zaplanowaną pracę, a także Ci, którzy chcą zrobić niespodziankę żonie.

Obserwuję również zainteresowanie od lokalnych firm usuwaniem drobnych usterek czy naprawami.

MM: Ile kosztuje taka usługa?

DS: Polityka cenowa jest bardzo prosta i przejrzysta. Standardowo oferujemy stawkę godzinową. Za pracę zleconą „mężowi” zapłacimy maksymalnie 50 zł za godzinę. Stawka ta maleje wraz ze zwiększeniem się ilości godzin pracy lub ilości zleceń.

Ceny są zróżnicowane w zależności od czasu jaki jest potrzebny na wykonanie zlecenia.

Istnieje też możliwość rozliczenia za konkretnie wykonaną usługę, zamiast rozliczenia godzinowego. Zależy to przede wszystkim od klienta i wcześniejszych ustaleń.

Stałym klientom oferujemy zniżki i rabaty, gdyż najważniejsze jest dla nas zadowolenie klienta i profesjonalne podejście do wykonywanych prac.

Na terenie Słupska oferujemy dojazd do klienta gratis.

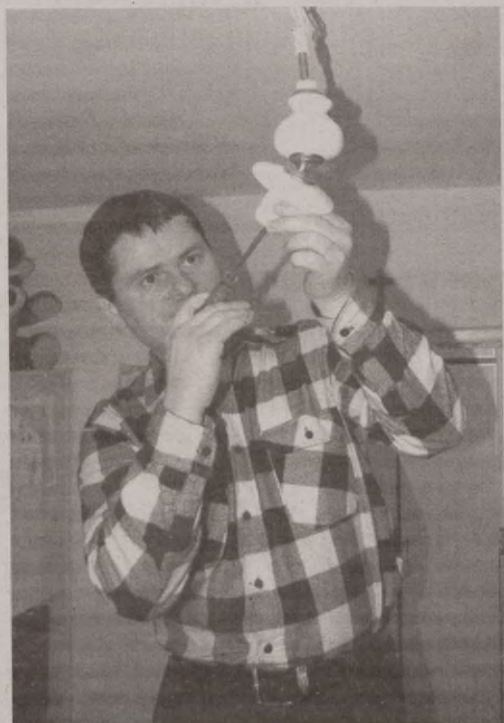
MM: Zdarzają się zamówienia na nietypowe usługi? Wszak nazwa „Mąż na zlecenie” może być różnie interpretowana.

DS: Z reguły zlecenia i zapytania klientów mieszczą się w oferowanych przez nas usługach. Zdarzyło się jednak kilkakrotnie, iż miałem telefony od pań z niedwuznacznymi propozycjami, które oczekiwały, iż nasza oferta usług jest jeszcze szersza. W takich sytuacjach oczywiście zawsze odmawiam. Poza tym nie wiem na ile takie propozycje są na serio i czy nie są to po prostu zwykłe żarty. W każdym razie takie zapytania i propozycje zdarzały się tylko przez telefon.

Dziękuję za rozmowę

*DAMIAN SOWA - jest absolwentem Politechniki Koszalińskiej Wydziału Ekonomii i Zarządzania, majsterkowicz z zamiłowania. Kontakt do Pana Damiana:

www.maznazlecenie.pl
tel. kom. 795 693 227.



Moim zdaniem

Palikot, pomarańcze i mandarynki

Zaczął jak Napięralski – będę premierem. Jakby dla przeciętnego wyborcy premierostwo Palikota było najważniejszą sprawą. Dalej poddał krytyce obietnice wyborcze wszystkich dotychczasowych partii, które nigdy nie zostały spełnione. Potem było normalnie, czyli składał obietnice co to Palikot robi, gdy dojdzie do władzy. W kuluarach dało się słyszeć – następny obiecują, a na stole pomarańcze i mandarynki, oby nie skończyło się na bananach.

Chciałbym jednak mniej krytycznie napisać o spotkaniu Janusza Palikota z mieszkańcami Słupska. Mniej krytycznie z tego względu, że domeną rodzącej się demokracji, a z taką mamy nadal do czynienia w Polsce, powinno być to, aby powstawały nowe ugrupowania, które wyrastają na buncie niepokornych. Dlatego z pewną sympatią – mimo swoich zdeklarowanych lewicowych poglądów, patrzę na Ruch Janusza Palikota i po PiS-owskiej partii Polska Jest Najważniejsza.

Moja sympatia dla „rozłamowców” wynika z tego, że partie rozwijają się i powstają nowe – bardziej obywatelskie – to po pierwsze. Po drugie; niemożliwe i niewskazane jest aby wszyscy mieli jednakowe poglądy. A po trzecie; nic tak nie tłumi niezadowolonych, jak powstanie nowych „dyktatorów” i polityków jak opozycja – cywilizowana opozycja. Zatem cenę Janusza Palikota za to, że potrafił przeciwstawić się złym tendencjom w Platformie Obywatelskiej i budować swoje ugrupowanie, zapewne bardziej wolne od wielu negatywów „partii matki”. Podobnie i z PiN, chociaż zupełnie nie aprobuję partii chadeckich – czyli ideologicznych. Partie i związki zawodowe nie powinny wkraczać w ludzkie sumienia – od tego są inne instytucje.

Wróćmy jednak do Palikota i jego programu. Z braku miejsca wymienię tylko te pozycje, które w pełni akceptuję.

Palikot jest za szeroką obywatelską formułą sprawowania władzy w samorządach, rozszerzając przedstawicielstwo samorządowe na Rady Osiedlowe. Jest to zbieżne, z programem słupskiego Sojuszu Lewicy Demokratycznej, którego byłem konstruktorem i współautorem. Myślę, że radni SLD niebawem zgłoszą taką inicjatywę. Rady takie działają w mniejszych od Słupska miastach, jak chociażby Szczecinek.

Janusz Palikot opowiada się za świeckością państwa. Tutaj również jesteśmy w zgodzie. Osobiście doceniam

ogromną rolę kościołów wszelkich wyznań w zakresie budowania postaw moralnych i etycznych swoich wiernych i nie tylko. Jednak wchodzenie duchownych w sferę polityki i kształtowanie prawa państwowego na podobieństwo kanonów wiary nie służy tolerancji, poszanowaniu inaczej myślących i nie sprzyja wolności sumienia. Przejechała się na tym „komuna”, również kościół polski jest na najlepszej drodze do zmarginalizowania swojej roli w przyszłości. Dla mnie ideałem w tym zakresie jest Szwecja, gdzie moralność i etyka nie mieszka w garażach kleru, a w sumieniach obywateli. Mimo, że kościół trzyma się z daleka od spraw doczesnego państwa.

Palikot opowiada się za kadencyjnością wszystkich funkcji w państwie. Tutaj też jest między nami zgoda. Dla młodej demokracji jest to sprawa pierwszoplanowa. Coraz częściej spotykamy się z tendencją „małych dyktatorów” na szczeblach gminnych i powiatowych. Do władzy dochodzą ludzie o zapędach autokratycznych, nie wolni od mitomani i megalomani, którzy wszystkie swoje siły skupiają na utrzymaniu władzy, a nie na służbie społecznej. Dwukadencyjność sprzyjałaby – moim zdaniem, również poszanowaniu byłych wódat, którzy dzisiaj odchodzą w niebyt niszczeni przez swoich następców, a mogliby być wykorzystywani dla dobra gminy, powiatu, województwa, państwa. Przykład amerykański jest tutaj wzorcowy. Po prostu nie ma ludzi niezastąpionych i jedynie mądrych.

Palikot opowiada się za wyprowadzeniem polskich wojsk z Afganistanu. Pełna zgoda. Polska i tak utrzymuje poza granicami kraju zbyt duży kontyngent wojsk na swoje możliwości finansowe. Odbija się to na utracie naszych zdolności obronnych. Likwiduje się lub ogranicza liczbę etatów wojskowych. Zwalnia się wyszkolonych za ogromne pieniądze specjalistów wojskowych. To błędna i szkodliwa polityka.

Również zgadzam się z tym co Janusz Palikot mówił na temat szkodliwego zarządzania spółkami skarbu państwa takimi jak PKP, Poczta Polska i inne. Wieloletnie „reformowanie” tych podmiotów przyniosło społeczeństwu i państwu więcej szkody niż pożytku.

Mógłbym zanudzać Czytelników jeszcze innymi punktami programu Janusza Palikota, które aprobuję z całą rozciągłością. Jest jednak wiele i takich, których nigdy bym nie zaakceptował. Dlatego Janusz Palikot nie jest z mojej bajki, ja na to ugrupowanie nie zagłosuję. Jednak zachęcam wszystkich do zainteresowania się – bez emocji, programem tej organizacji. Gdyż wielu ludziom zapewne taki program odpowiada. Myślę, że na scenie poja-



wiło się nowe prawicowe, ucywilizowane, warte uwagi ugrupowanie. Jest to, taka Platforma Obywatelska nowej, a więc lepszej generacji.

Na razie w Ruchu Poparcia znany jest tylko Janusz Palikot. W Słupsku jednak zawiązała się grupa inicjatyw-

na tej formacji. Póki co, są to nieznaani „szerszej publiczności” ludzie. Obok przedstawiamy wywiad z jednym z nich. Przyszłość pokaże czy wypłyną na szersze wody.

Andrzej Obecny
obecnypoczta.onet.pl

Ruch Poparcia JP

Z Wiesławem Trąbczyńskim, ślupszczaninem, nauczycielem, sympatykiem i działaczem Ruchu Poparcia Janusza Palikota w Słupsku rozmawia Andrzej Obecny.

A.O.: Jest pan człowiekiem w średnim wieku, jak pan powiedział nigdy nie był w żadnej partii i w tej chwili nagle stał się pan członkiem Ruchu Poparcia Janusza Palikota. Co się stało albo co pana urzekło w tej organizacji, że zmienił pan swoje polityczne status quo?

W.T.: Wiele czynników. Może zaczęło od sprawy gorszących scen pod Pałacem Prezydenckim na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie. Nie ulega wątpliwości, że organizował to PiS, a władze kościelne dystansowały się od tej sprawy. Mówiły, że to nie jest nasza sprawa, nas to nie dotyczy itp. Wtedy mnie i zapewne wielu ludziom zapaliła się taka lampka ostrzegawcza. Po co zatem jest ten Kościół skoro krzyż nie jest ich sprawą?

A.O.: Czyli ja rozumiem, że chodzi Panu o sprawę rozdziału Kościoła od państwa.

W.T.: Chodzi mi o to, aby zaintentować do polskiego prawa takie zabezpieczenia, aby w przyszłości nikt nie mógł sprawy wiary, krzyża, symboli religijnych wykorzystywać do swoich politycznych celów.

A.O.: Czy w Polsce zachodzą procesy do przeistoczenia się kraju w państwo wyznaniowe?

W.T.: Chyba nie, chociaż pewna groźba jest. Bo w Polsce niektórzy politycy przyzwyczaili się, że mogą rozgrywać swoje sprawy przy pomocy religii. Wmawiają społeczeństwu, że my jesteśmy prawdziwymi Polakami, bo my jesteśmy katolikami, a pozostali to źli Polacy. Tutaj rozgłoszono niejakiemu panu Rydzkiemu dowodem na to, że gdyby im dać władzę to...

A.O.: No dobrze, to spójrzmy w program Janusza Palikota. Które z zapisów „urzekły” Pana? Z którymi się Pan utożsamia?

W.T.: Sprawy równości i parytetu płci. To jest ważne. Przekonałem się o tym, bo mam dorosłą córkę. I wiem jak trudno jest kobiecie w świecie zafunkcjonować. Również mam na myśli i kwestie ekonomiczne, gdzie kobiety są ewidentnie dyskryminowane.

Ważne są również zmiany w dzisiejszym sposobie zarządzania państwem. Zmniejszenie wydatków na wojsko. Janusz Palikot ma rację twierdząc, że my zawsze przegrywaliśmy. Armia nigdy nas przed niczym nie obroniła. A my jako Polacy dawaliśmy wszystko wojsku. I życie i majątek i obrączki ślubne w różnych momentach dziejowych. A armia i tak nigdy nas nie obroniła. Obroniła nas literatura, muzyka, kultura.

A.O.: To znaczy, że ważniejsi są dla nas ci co zginęli za Ojczyznę niż ci co ją obronili?

W.T.: Tak. Henryk Sienkiewicz kiedyś powiedział: „Umrzeć dla Ojczyzny to jest łatwe, ale żyć dla niej to jest trudne”.

A.O.: Porozmawiajmy zatem o żywych i ich potrzebach. Na przykład o gospodarce.

W.T.: Palikot w zakresie gospodarki ma poglądy liberalne. Ten jego liberalizm wyraża się głównie w nie przeszkadzaniu, a raczej pomaganiu ludziom w prowadzeniu działalności gospodarczej. Nie setki zaświadczeń, kontroli, przeszkadzania. Ja bym to określił terminem socjaldemokratyzm liberalny. Oczywiście nie chodzi o to aby puścić wszystko na żywioł, ale o to aby ułatwić ludziom działanie. Aby państwo musiało samo skontrolować obywatela, jeśli zajdzie taka konieczność, a nie on udowadniał co rusz, że nie jest „wielbłądem”. Po odejściu Janusza Palikota z Platformy Obywatelskiej widać, że tam się wprowadza już nieśmiało pewne sprawy, które on proponował.

A.O.: Zejdźmy może na nasze lokalne podwórko. Na pewno będziecie chcieli, jeśli się partia ostatecznie, zafunkcjonować w samorządzie.

W.T.: To prawda. Na pewno z biegiem czasu będziemy chcieli odgrywać pewną rolę w radzie Miasta. Na razie na zasadzie postulatów do aktualnej władzy. Na początek proponujemy powołanie Rad Osiedlowych. Chcemy budować demokrację od dołu. Chcemy ożywić wrażliwość społeczną obywateli. Spowodować aby myślenie obywateli było nakierowane na dobro wspólne, aby przeciwstawić się rosnącemu myśleniu egoistycznemu, egoizmowi klasowemu. Aby nie myśleć kategoriami interesu grup. Aby nie myśleć o dobru wspólnym jako niczym. Na zachodzie ludzie są bardziej pro społeczni niż się nam wydaje.

Chcemy zwrócić uwagę naszym władzom, że mamy bardzo zaniedbane centrum miasta: ulice Wojska Polskiego, Łajming, Tuwima, Mickiewicza, Wileńska. To wszystko wygląda jak slumsy.

A.O.: Uderza pan w ton narzekania, malkontentstwa, a ja chciałbym usłyszeć o jakiejś przemysłowości twórczych.

W.T.: Chciałbym aby w długoterminowym planie zwiększyć uwagę na centrum, odpuścić sobie pewne rzeczy kosztowne. Chciałbym aby w przyszłości centrum było zamknięte dla ruchu kołowego. Inne nasze przemyslenia będziemy przekazywać sukcesywnie.

A.O.: Dziękuję za rozmowę.



USŁUGI POGRZEBOWE

KALLA

HALINA I KRZYSZTOF BANACHOWIE

- † WŁASNA CHŁODNIA
- † ADMINISTRATOR CMENTARZY
- † KREMACJA
- † PRZEWOZY KRAJOWE
- † PRZEWOZY ZAGRANICZNE

SŁUPSK, ARMII KRAJOWEJ 15
TEL. (59) 842 81 96 - DZIEŃ TEL. (59) 842 12 85 - NOC
KOM. 0 601 928 600 - CAŁĄ DOBĘ

USŁUGI DEKARSKIE

ul. Wierzbowa 3

Firma oferuje:

Pokrycia dachowe - kompletne
Rozbiórki azbestu z utylizacją
Inne roboty dekarские

tel. (059) 842 12 77
kom. 602 635 530

PeGeeMka

www.pgm.slupsk.pl



Wraz z wiosną nadchodzą kolejne zmiany

Czas na kolejne zmiany w PGM-ie, od 1 marca każdy pracownik tej firmy ma obowiązek nosić identyfikator, na którym jest widoczne jego zdjęcie, imię, nazwisko oraz funkcja.

Rok 2010 był okresem przemian w słupskim Przedsiębiorstwie Gospodarki Mieszkaniowej Sp. z o.o., stworzenie Biura Obsługi Mieszkańców oraz elektronicznych form kontaktu z mieszkańcami naszego miasta sprawiło, iż poziom obsługi klienta uległ znacznej poprawie. Jednakże, okres zmian jeszcze nie skończył się, a te planowane w 2011r. pozytywnie zaskoczą wszystkich mieszkańców zasobów, którymi zarządza firma. W dalszym ciągu głównym celem PGM-u jest usprawnienie systemu obsługi klienta.

Zmiany rozpoczynają się od wprowadzenia identyfikacji personalnej pracowników Spółki. Od 1 marca każdy pracownik posiadała identyfikator, na którym są umieszczone podstawowe informacje, czyli: zdjęcie, imię i nazwisko oraz funkcja. Kolejna zmiana jaka zaskoczy lokatorów wiąże się z wewnętrznym zaszerego-

waniem budynków do konkretnych oddziałów. Jej celem jest stworzenie kompleksowej obsługi całego budynku przez jeden oddział, bez względu na ilość znajdujących się w nim mieszkań gminnych i własnościowych. W ten sposób wyeliminowane zostaną sytuacje, w których klient odsyłany był z oddziału do oddziału.

Identyfikatory zostają wprowadzone z myślą o podwyższeniu świadczonych przez PGM usług, głównie poprzez zerwanie bariery anonimowości. Mamy nadzieję, że ta forma identyfikacji spowoduje wyeliminowanie sytuacji, w których lokatorzy otwierają drzwi osobom nie uprawnionym, nie znanym, często podających się za pracowników administracji. Takie działania na pewno zmniejszą przypadki kradzieży i napadów na mieszkańców.

Posiadanie czytelnego i rzucającego się w oczy

identyfikatora spowoduje, że administrator, technik, inspektor nadzoru bądź inne osoby z służb technicznych, będą mogły z łatwością zostać rozpoznane podczas wizyt w budynku czy w mieszkaniach lokatorów. Personalizacja spowoduje, że przychodząc do administracji klient będzie wiedział z kim rozmawia, z imienia i nazwiska pozna swojego administratora bądź osobę, która sprawuje nadzór nad pracami remontowymi w obiekcie, w którym mieszka. Z tego też względu identyfikatory są częścią składową systemu oceny administratora. Wypełniając ankietę oceny często nie znamy imienia i nazwiska osoby, która nas obsługiwała. Identyfikatory spowodują, iż pracownicy nie będą anonimowi i zawsze będzie można prosić ich o okazanie kolorowej plakietki celem wpisania odpowiedniego imienia i nazwiska w ankiecie.

Identyfikatory również zostaną przekazane przedsiębiorcom bądź poszczególnym wykonawcom, którzy prowadzą okresowe przeglądy instalacji elektrycznych, gazowych, sanitarnych, i innych wymagających wejścia do mieszkania.

Od początku 2011r. PGM wprowadza zmiany, które mają spowodować łatwy i czytelny kontakt z klientem i poprawić komfort jego obsługi. Personalizacja naszych pracowników głównie ma służyć poprawie jakości świadczonych usług oraz zwiększeniu bezpieczeństwa. Na wyrażenie trudnych do podrobienia plaketkach znajdują się podstawowe dane o pracowniku, czyli jak na załączonym obrazku: zdjęcie, imię i nazwisko oraz funkcja np. administrator bądź specjalista ds. technicznych.

Mamy nadzieję, że ta zmiana oraz kolejne zostaną pozytywnie przyjęte przez lokatorów mieszkań gminnych i własnościowych zarządzanych przez firmę.

Aleksandra Podsiadły

Przed kolejną zimą znajdziemy lepszy sposób na ogrzanie swojego mieszkania

Zmiana sposobu ogrzewania pozytywnie wpływa na środowisko naturalne oraz zapewnia większe bezpieczeństwo lokatorom.

Zima dobiega końca - jest to dobry czas na zastanowienie się czy dotychczasowa forma ogrzewania spełnia nasze oczekiwania? Szukając odpowiedzi na to pytanie zapewne będziemy się kierować poniesionymi kosztami na ogrzanie mieszkania. To będzie główne kryterium, jednakże dla wielu osób równie ważne są kwestie dotyczące eksploatacji i konserwacji instalacji oraz komfort i wygoda. W ostatnim czasie coraz częściej słyszymy, iż władze miast prowadzą kampanie informacyjne, mające na celu przekonać mieszkańców do podłączania się do cieci miejskiej centralnego ogrzewania. Dla niektórych może wydawać się to zastanawiające i zadają sobie pytania: dlaczego?, jakie miasto może mieć z tego korzyści? Tak jak najczęściej bywa odpowiedź jest oczywista i bardzo prosta. A ludzie zamiast doszukiwać się problemów, powinni popatrzeć na stan naszego środowiska oraz swoje bezpieczeństwo.

Słupsk jest jednym z nielicznych miast, którego powierzchnia jest niewielka w stosunku do ilości mieszkańców, ten czynnik jak i charakterystyczne położenie geograficzne ma wpływ na poziom zanieczyszczenia powietrza atmosferycznego nad naszym miastem. Duża gęstość zaludnienia w centrum miasta oraz obniżenie terenu powoduje, iż emitowane przez mieszkańców zanieczyszczenia powietrza mają utrudnioną cyrkulację. Dlatego głównym celem powinno być zmniejszenie emisji szkodliwych substancji do atmosfery, które w dużej mierze powstają poprzez niekonwencjonalne sposoby ogrzewania mieszkań. Z tego powodu władze miasta poprzez swoją działalność skierowaną na podłączenie jak największej liczby budynków do sieci c.o. dążą do zmniejszenia emisji zanieczyszczeń gazowych i pyłowych głównie tworzonych poprzez palenie w piecach i kominkach materiałami do tego nie dostosowanymi, m.in. odpadkami, plastikowymi



wymi butelkami, butami i odzieżą, oraz innymi łatwo palnymi produktami, które w nigdy nie powinny być w taki sposób utylizowane.

Zmiana sposobu ogrzewania nie tylko pozytywnie wpłynie na środowisko naturalne, ale również zapewni większe bezpieczeństwo lokatorom. Korzystanie z ciepła pochodzącego z sieci miejskiej automatycznie zlikwiduje szereg zagrożeń wynikających z eksploatacji piecy kaflowych, piecyków gazowych, kominków czy nielegalnych podłączeń prowizorycznych instalacji grzewczych. Podłączenie do sieci centralnego ogrzewania głównie obiektów znajdujących się w starej części miasta zwiększa bezpieczeństwo oraz komfort mieszkańców. Eliminuje przypadki zaczadzeń, pożarów mieszkań i kominów.

Należy pamiętać, iż c.o. jest bardzo wygodną i czystą formą ogrzewania. Jeśli dodatkowo zamontujemy podzielniki ciepła oraz zawory termostatyczne przy grzejnikach to będziemy posiadać realny wpływ na zużycie przez nas energii, co daje szansę na zmniejszenie kosztów ogrzewania mieszkania, a na pewno na regulację wysokości tych kosztów.

W roku 2011 planuje się wykonanie podłączeń budynków do energetyki cieplnej na następujących ulicach: Paderewskiego, Szymanowskiego, Wojska Polskiego, Krasińskiego. Natomiast w 2012 r. kolejne ulice: Wileńska, Prusa, Broniewskiego, Solńskiego, Wyspiańskiego, Kołłątaja, Konopnickiej, Tuwima, Armii Krajowej, H. Pobożnego, Kasprzowicza, Starzyńskiego.

Aleksandra Podsiadły



Sprostowanie:

W nawiązaniu do tekstu pt. „Udowodnili, że chcieć to móc” (Moje Miasto nr 4/2011) w oparciu o art. 31 pkt. 1 ustawy „Prawo prasowe” na wniosek Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie w Słupsku informuję, iż w w/w publikacji podano nieprawdziwe informacje dotyczące projektu „Bliżej Pracy”. MOPR w Słupsku od roku 2008 realizuje w ramach środków z Europejskiego Funduszu Społecznego projekt „Bliżej pracy - aktywizacja społeczna i lokalna mieszkańców miasta Słupska wymagających wsparcia i wzmocnienia umiejętności społecznych”. W wyniku już zakończonej aktywizacji społecznej uczestnicy projektu wyszli z inicjatywą wykonania remontu budynku przy ulicy Lelewela 24. Przy wsparciu pracowników socjalnych i mieszkańców Słupska PGM sp. z o.o. stworzyło swój projekt mający na celu poprawę warunków mieszkaniowych w budynkach należących do komunalnego zasobu mieszkaniowego i nazwało go również „Bliżej Pracy”. Na prośbę MOPR dokonuje się zmiany nazwy na „Robimy to dla siebie”.



**Przedsiębiorstwo
Gospodarki
Mieszkaniowej
Sp. z o.o.
w Słupsku**

Aleksandra Podsiadły

Rzecznik Prasowy / Asystent Zarządu



www.pgm.slupsk.pl

Jerzy Górski – patriota dni wojny i pokoju

Jerzy Górski urodził się 21 grudnia 1919 roku w Końskich woj. kieleckie w rodzinie Feliksa i Antoniny z domu Urbańczyk. Miał starszego brata.

Górcy mieszkali w Białaczowie na gospodarstwie rolnym razem z bratem Feliksem. Przed narodzinami Jurka przenieśli się do Końskich. Starszy brat, pozostał u wujka. Kilka lat potem, jeszcze przed wojną, zmarł ojciec Jurka. Po jego śmierci mieszkał sam z matką, a starszy brat pozostał u wujka na wsi.

Dzieciństwo i młodość Jerzy Górski spędził w Końskich. W 1927 roku poszedł do siedmioklasowej szkoły powszechnej, którą ukończył w 1933 roku. W tym samym roku, we wrześniu podjął naukę w Państwowym Liceum i Gimnazjum w Końskich. Uczył się w klasie o kierunku matematyczno-fizycznym. W 1939 roku ukończył liceum i zdał maturę.

Podczas okupacji niemieckiej w okresie od 1940 roku do 20 sierpnia 1943 roku pracował w Powiatowym Zarządzie Drogowym na stanowisku pomocy kreslarskiej.

Na początku lat czterdziestych Jurek poznał pannę Ulę Kledzik. Po latach pani Urszula wspomina fakt poznania się ze swoim przyszłym mężem jako typowy dla młodych w tamtym okresie:

-Pewnie wpadłam Jurkowi w „oko”, podczas mszy, albo gdy z siostrą szliśmy lub wracaliśmy z kościoła lub tajnego nauczania. Byliśmy przyjezdne, a więc chłopcy tym bardziej się nam przyglądali. Z tamtego okresu pamiętam jeszcze Tadeusza Drapińskiego, który też osiedlił się w Słupsku.

Historia przyjazdu rodziny Kledzików do Końskich była typowa dla dziesiątek tysięcy Polaków, których zmuszono do opuszczenia swoich domostw, znajdujących się na terenach włączonych do Rzeszy. Przy-

czynny wywózki były różne. Najczęściej denuncjacje miejscowej mniejszości niemieckiej, dotychczasowych sąsiadów lub odmowa na wpisanie się na listę osób pochodzenia niemieckiego. Opuszczone przez Polaków majątki były przejmowane przez Niemców. W latach 39-45 rodziny te wywożono do, utworzonej z terenów centralnej Polski Generalnej Guberni (GG).

Kledzikowie mieszkali w Strzelnie na Kujawach. Pewnego dnia, jeszcze w 1939 roku, do mieszkania wkroczyli Niemcy, dając rodzinie polecenie opuszczenia mieszkania. Wyznaczono im kilkadziesiąt minut na spakowanie się i zabranie dobytku – mogli zabrać tyle ile zdolali unieść. Potem pognano ich na stację kolejową, gdzie zapakowano do pociągu towarowego, który wywiózł ich i setki podobnych polskich rodzin do niewolniczego kraju jakim była GG. Po tułaczce trafili w końcu do Końskich. Wynajęli mieszkanie na poddaszu. Ojciec był fryzjerem i podjął pracę u Żyda, jakoś z trudem sobie radzili. Ula i jej siostra Basia podjęły naukę na tajnym nauczaniu, a ponadto u sióstr zakonnych Ula uczyła się krawiectwa.

Przez cały okres okupacji Jurek i Ula sympatyzowali ze sobą.

W 1942 roku Jerzy Górski wystąpił do konspiracyjnej organizacji Związku Walki Zbrojnej, którą od 1943 roku przemianowano na Armię Krajową.

W dniu 20 sierpnia 1943 roku został, w wyniku donosu konfidenta, aresztowany przez gestapo i wywieziony do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Jego aresztowanie związane było z akcją wysadzenia



niemieckiego kolejowego transportu w okolicach Końskich w nocy z 19 na 20 sierpnia 1943 roku. Całą akcję organizował Stach Kołodziejczyk „Bandera”, „Orkan”, który od 18 sierpnia był w lesie i przygotowywał akcję. Gdzieś nastąpił przeciek. Gestapowcy wtargnęli do domu Kołodziejczyków i aresztowali dwóch jego braci Janka i Antoniego. Dokonali również rewizji w domu dziewczyny Stacha Kołodziejczyka i tam znaleźli fotografie z kolegami z klasy. Zapewne posłużyła ona do identyfikacji osób i dalszych aresztowań.

Jerzy Górski otrzymał numer obozowy: 138081. W Oświęcimiu przebywał do 30 lipca 1944 roku. W tym dniu skierowany został do obozu koncentracyjnego w Mauthausen. W nowym miejscu katorty wytatowano Mu drugi numer: 81162. W Mauthausen Jerzy Górski doczekał wolności w dniu 5 maja 1945 roku, gdy obóz wyzwolili Amerykanie.

Tamten ponury okres, pobytu Jerzego „za drutami”, tak wspomina Jego żona – Urszula.

Jak Jurek został zabrany do Oświęcimia, to przez cały ten okres aż do wyzwolenia posyłałam mu paczki i słałam listy. Wtedy przysłał mi mój ojciec, który znał niemiecki. Bowiem listy trzeba było pisać po niemiecku – ojciec tłumaczył ją przepisywaliśmy. Listy były oczywiście cenzurowane, jednak najważniejsze było to, że przechodziły od niego odpowiedzi. Był to znak że żyje. Ja posyła-

łam mu paczki: cebulę, czosnek, słoninę – to były najbardziej oczekiwane produkty.

W czerwcu 1945 roku, po ponad dwu latach Jerzy Górski powrócił do domu, do Polski, do Końskich, do swojej dziewczyny. W domu nabierał sił fizycznych po obozowym wyczerpaniu. Był chory i strasznie wychudzony. Rekonwalescencja trwała do marca 1946 roku. Nie lubił wspominać pobytu w obozach koncentracyjnych. Po powrocie z niewoli spotkał się z Ulą, która niebawem opuściła Końskie.

Kledzikowie, pod wpływem różnych opowieści, latem 1945 roku zdecydowali się wyjechać na Ziemię Odzyskane. Wybrali Słupsk. Powodów było co najmniej kilka. Najważniejsze z nich to te, że podobno w mieście było dużo wolnych mieszkań, była praca i... znajomi, bo właśnie do tego miasta wyjechało bardzo wielu mieszkańców z Końskich, a jeden z nich – Jerzy Turno pracował w Urzędzie Likwidacyjnym w Słupsku. Jerzy Turno w okresie okupacji był uczestnikiem walki konspiracyjnej. W Słupsku w ramach powojennego podziemia pomagał przybyszom z Końskich, szczególnie tym zagrożonym represjami Urzędu Bezpieczeństwa, ze względu na swoją przynależność do AK. Pan Jerzy Turno do dzisiaj mieszka w Słupsku.

Za narzeczoną i kolegami z partyzantki do grodu nad Słupią podążył również Jurek Górski.

Stało się to wiosną 1946 roku. Wtedy przyjechał do Słupska. Najpierw sam – „aby zbadać teren”. W Słupsku spotkał swojego kolegę z Końskich Jerzego Postupałskiego, który przyjechał tutaj wcześniej. Zajmował mieszkanie przy ul. gen. Roja (dzisiaj ul. Ogrodowa). Postupałski postanowił że Słupska wyjechać, nie widział się w tym mieście. Ugadali się, że kolega przekaże Mu swoje mieszkanie. Tak się też niebawem stało i Jerzy Górski na stałe pozostał w mieście.

Do nowego mieszkania przy ul. gen. Roja przywiózł matkę. Niezadłu-



Słupski Teatr Miłośników Sceny, „Zemsta” A. Fredry: Od lewej Kołkowska Danuta – Klara i Górski Jerzy – Waclaw.

go ożenił się ze swoją ukochaną Ulą. Tyle przecież razem przetrwali i dopiero w Słupsku fortuna szczęścia się do nich uśmiechnęła. Ślub odbył się w kościele pw. św. Ottona, a ceremonii przewodnił ks. Jan Zieja. Młodzi zamieszkali razem z matką Antoniną w mieszkaniu przekazanym im przez Jerzego Postupałskiego.

Ze związku Urszuli i Jerzego Górskich urodziło się dwoje dzieci: syn Wiesław i córka Grażyna. Syn mieszka i pracuje w Słupsku, a córka w Darłowie. Oboje Górcy pracowali, a dziećmi zajmowała się matka Jerzego.

Jerzy Górski zaczął pracę od dnia 15 czerwca 1946 roku w Miejskim Przedsiębiorstwie Komunalnym w Słupsku. W tym samym roku rozpoczął naukę w Liceum Administracyjnym w klasie o przyspieszonym toku nauczania, dla tak zwanej „przełomowej” młodzieży. Edukację zakończył w 1947 roku – jako prymus, otrzymując drugie, w swoim życiu świadectwo maturalne. Motywem podjęcia nauki w Liceum była chęć zdobycia zawodu. Również w 1946 roku wystąpił do Polskiego Związku Byłych Więźniów Politycznych.

Zaczął żyć.

Był młodym, przystojnym, dobrze wysportowanym mężczyzną. Lubił ludzi. Wychowany w duchu patriotyzmu i służby dla ojczyzny angażował się w różne przedsięwzięcia.

W szkole zajmował się działalnością sportową. Od 1947 roku brał czynny udział w życiu słupskiego teatru. Był członkiem zespołu aktorskiego Teatru Towarzystwa Miłośników Sceny w Słupsku. Grał w wielu sztukach teatralnych. Jego najważniejszą rolą to zapewne Waclaw w „Zemście” Fredry. Zagrał również Odyssa w sztuce „Moja żona Penelopa” Zdzisława Gozdawy i Waclawa Stepnia. Towarzystwo Miłośników Sceny działało od 1947 roku. W ciągu dwóch lat odbyło się pięć premier i 49 przedstawień, nie tylko w Słupsku, ale w Bytowie, Ustce, Potęgowie, Koszalinie. Niestety teatr ten zakończył swoją działalność w 1955 roku.

Od tego czasu życie upływało Jerzemu Górskiemu pomiędzy pracą zawodową a życiem rodzinnym. Aż przyszedł niespodziewanie atak wyrostka robaczkowego. Dzisiaj skończyłoby się to na drobnym zabiegu. Wtedy, niestety chorego czekała ciężka operacja, która dla Jerzego Górskiego skończyła się tragicznie, gdyż wdało się zapalenie otrzewnej.

Zmarł w Słupsku w dniu 21 stycznia 1957 roku w wieku zaledwie 37 lat.

Pochowany został na Starym Cmentarzu w Słupsku przy ulicy Kaszubskiej, na kwaterze 7B rząd 19 miejsce 10. KSW 27/1957.

Andrzej Obecny
obecnypoczta.onet.pl



Jerzy Górski z pracownikami Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunalnego w Słupsku. Stoi w drugim rzędzie w środku (najwyższy).

Pochowani zostali w Słupsku w dn. 12.02.2011 do 28.02.2011 roku

Babis Józef
Baczul Halina
Bogdasch Aurelia
Byczko Witold
Dankowska Irena
Dudek Jan
Dulski Edward
Fanok Helena
Flinik Jan
Formela Arkadiusz
Grackowska Anna
Hackiewicz Piotr
Janowski Zygmunt
Kamiński Wiesław
Krawców Mirosław
Krawiec Stanisław
Lewandowski Jarosław
Lewandowski Waclaw

Lisiecka Bernadeta
Okolotowicz Stanisław
Pędzikowski Zygmunt
Roszkowska Marianna
Sabisz Kazimierz
Sałacki Tomasz
Sazanowicz-Adamczuk Eugenia
Soroka Józef
Sygnet Daniel
Synak Wanda
Szpakowska Janina
Śledź Agnieszka
Wach Helena
Wieliczko Halina
Wójcicka Genowefa
Wyrzykowski Andrzej
Zaborowski Witold

Słowo na niedzielę ks. Wojciecha

Niedziela, 6 i 13 marca 2011 Ewangelia Łukasza 22,31-34

Szymonie, Szymonie, oto szatan domagał się, żebyś was przesiał jak pszenicę; ale ja prosilem za tobą, żebyś nie ustąpił twoja wiara. Ty ze swej strony utwierdzaj swoich braci. On zaś rzekł: Panie, z Tobą gotów jestem iść nawet do więzienia i na śmierć. Lecz Jezus odrzekł: Powiadam ci, Piotrze, nie zapieje dziś kogut, a ty trzy razy wypiesz się tego, że Mnie znasz.

Dzisiaj słyszymy, dobrze znane nam słowa Jezusa: „Powiadam ci Piotrze, nie zapieje dzisiaj kogut, a ty się trzykrotnie zaprzęsz, że mnie znasz.” Słowa, które pomimo wcześniejszych zapewnień Piotra, składanych nad Jeziorem Genezaret, że miłuje Jezusa, okazały się brutalną prawdą. Najbardziej zadziwiającym jest fakt, że historia ta dotyczy jednego z pierwszych, ale też chyba najważniejszych i najgorliwszego ucznia Jezusa. Apostoła, o którym dowiadujemy się najwięcej z kart ewangelii.

W słowach, które kieruje Jezus do swojego ucznia jest kilka zastanawiających elementów. Na samym początku, Jezus zwraca się do swojego ucznia „Szymonie”, używa jego „starego” imienia, które uczeń ten nosił zanim Jezus nazwał go Kefas – „skałą”, którą łączy się z imieniem Piotr. W ten sposób Jezus nawiązuje do wcześniejszego życia swego ucznia. Życia bez Jezusa, życia wypełnionego pracą i najprawdopodobniej tradycyjną pobożnością. Szymon usłyszał od Jezusa szczególne słowa. „Ty jesteś Piotr, na tej skale zbuduję swój Kościół, a bramy piekielne nie przemogą go”. To zaakcentowanie drugiego imienia Szymona pozwala nam mieć pewność o wyjątkowości tego człowieka i jego szczególnym znaczeniu w gronie Dwunastu. Jednak bycie szczególnie wybranym wymaga próby wierności i lojalności. O takiej próbie mówi również dzisiejsze Słowo – „oto szatan wyprosił sobie, aby was przesiał jak pszenicę.” Tu jesteśmy skonfrontowani z osobą szatana, upadłego anioła, który odwrócił się

od Boga i w konsekwencji tego stał się wrogiem Boga i wrogiem człowieka. On działa tak, aby oderwać człowieka od Boga, aby zniszczyć wiarę i przywiązanie człowieka do Stwórcy. Wiemy z kart Biblii, że szatan przybierał różne postacie, najbardziej znaną jest postać węży z historii stworzenia. Szatan, wyraźnie pojawia się też w historii Joba. To na wyraźną sugestię szatana i poddanie w wątpliwość bogobojności Joba, Bóg zgodził się na to, aby wypróbowana została jego wiara. Innym spektakularnym wydarzeniem z szatanem było kuszenie Jezusa na pustyni. Ani Job, ani tym bardziej Jezus nie ulegli temu kuszeniu. Teraz po raz kolejny szatan wyciąga swoje łapy, po najbliższych współpracowników i najwierniejszych uczniów Jezusa.

Szatan przybiera różne postacie, w dzisiejszym świecie najczęściej i najłatwiej jest mu się przebrać pod postacią pieniędzy. To dla niech ludzie często rzucają wszystko to, co mają cennego, a czego nie można przeliczyć na żadną walutę. Dla pieniędzy oddają miłość a kupują seks, oddają przyjaźń a kupują biznesowe znajomości, oddają pokój i wywołują wojnę, oddają rodzinę a kupują osamotnienie, oddają wiarę w żywego Boga za sukcesy zawodowe. Tak łatwo poddać się zachętom szatana, bo często to, co proponuje jest złudnie atrakcyjne i łatwo się na to złapać. Zastanówmy się, każdy w swoim sumieniu, nad swoim życiem, co jest w nim takiego, co pochodzi od szatana, a co jest Boże. Zastanówmy się nad tym w jaki sposób i czy w ogóle możemy, potrafimy odrzucić to, co nie pochodzi od Boga a jest ewidentną ingerencją szatana w naszemu życiu? Piotr też, nawet jako wzór ucznia Chrystusa, nie był się w stanie uchronić od słabości od lęku o swoje życie, czego dowód mamy w późniejszych wydarzeniach, kiedy wypełniła się zapowiedź Jezusa i Piotr na dziedzińcu pałacu arcykapłana powiedział trzy razy: „Nie znam Go!” Amen.

Ks. Wojciech Froehlich; Parafia Ewangelicko-Augsburska w Słupsku

Tchnienie Słupska (1)

Drukujemy fragment 13. rozdziału książki Mieczysława Bilskiego pt. „Tchnienie sportu”. Stanowi on o młodzieży z Końskich, która po okupacyjnych latach spędzonych w partyzancie wyjechała na ziemie zachodnie w celu rozpoczęcia „nowego życia” i uniknięcia represji. Miejsmem docelowym Mieczysława Bilskiego i jego przyjaciół był Słupsk. Mieczysław Bilski po uzyskaniu matury w Słupsku wyjechał na studia i już więcej do Słupska na stałe nie wrócił. Jednak Słupsk darzył przez całe swoje życie wielkim sentymentem, miał tu wielu przyjaciół. Często odwiedzał nasze miasto. Pracował jako dziennikarz sportowy. Pisał książki. W wielu z nich pojawiały się wątki słupskie. Jeden z takich wątków przedstawiamy naszym czytelnikom. Dzisiaj pierwsza część.

Uciec z Końskich do Słupska

Wichry wojny rozwały nadzieje, wolność po jej zakończeniu stała się fikcją, jednego okupanta zastąpił inny, groźny, bezwzględny, sławny z bezgranicznej chęci likwidacji politycznych przeciwników, nieufny wobec Polaków (pozostało to do dziś) i - o ironio! - wielki zwycięzca drugiej wojny światowej.

Kiedy sowieci zajęli Polskę, ich zdumiewająco otwartym planem było rozprawienie się z podziemnym wojskiem polskim - Armią Krajową. Nie poddawała się, ale fakt dla Polaków był niewymownie kosztowny: aresztowania, wyroki, zesłania i zabijanie polskich patriotów nazywanych reakcją, stały się arcysmutną codziennością. Najtrudniej było tym, którzy nie wszystko rozumieli, nie rozpoznali machiny jaka toczyła się przez nasz kraj i niszczyła jądro narodu: prawdziwych patriotów i wojowników o wolną Polskę - niepodległą, a nie podległą jak chcieli sowieci. A młodzi żołnierze AK umierać nie pragnęli, kto bowiem chce umierać, gdy na oczach świata, zwycięstwo nad faszyzmem tak zwanej koalicji, fetowano jako największe zwycięstwo demokracji z bezgraniczną wolnością narodów jak mówiono - nareszcie niepodległych.

Znaki czasu były takie, że młodzi wojownicy, którzy beztłonie bili Niemców zostali zmuszeni do salwowania się ucieczką. Ba, ale dokąd pójść, gdy w miastach i miasteczkach czołgi i wojska sowieckie naznaczyły śladami, że będzie nowa siła panów. No to uciekajmy w kierunku zachodu, na dawne piastowskie rubieże, częściowo jeszcze zajmowane przez ludność niemiecką, a w gruncie rzeczy przez kobiety i dzieci, ponieważ ich mężowie i ojcowie zostali albo zabici albo znaleźli się w obozach jenieckich na Syberii.

Tadek (pseudonim „Dębicz” (Tadeusz Drapiński, zm. w 1985r., poch. na Starym Cmentarzu w Słupsku - dop. red.)), członek dywersji Związku Walki Zbrojnej a potem AK były wspaniały harcerz, syn przedwojennego oficera WP, spotkał Jurka (Jerzy Górski, zm. w 1957r. poch. na Starym Cmentarzu w Słupsku - dop. red.), wywieziony w czasie wojny do Oświęcimia i zapytał:

-Czy nie sądzisz, że nas gimnazjalistów z Końskich sowieci nie zechcą wyłapać, byleś w wywiadzie, a za takimi uganiają się enkawudziści.

-A co proponujesz - na to Jurek.

-Zabieraj swoją ukochaną Ulę i jutro udamy się na stację kolejową, wykupimy bilety i pojedziemy do... Słup-

ska. Otrzymałem od dowództwa dywersji wiadomość, że działają tam nasi ludzie i czekają na byłych żołnierzy AK - powiedział „Dębicz”.

-Takie skupisko będzie łatwe do rozszyfrowania przez nowe władze, które nas wygarną i spacyfikują posyłając do łagrów - to Jurek.

-Nasze władze podjęły decyzję zmierzającą do tego, aby młodzi Polacy z kieleckiego wyjeżdżali na tak zwane ziemie zachodnie, zasiedlali je i żyli tam normalnie, włączając się w nurt budowania nowej Polski; z tego trzeba skorzystać, uda nam się w ten sposób przeżyć - zachęcał Tadek.

Działal tam już kolega gimnazjalny, J. Turno, (Jerzy Turno, „pierwszy słupszczanin” - wiceprezes Koła, pracował w Urzędzie Likwidacyjnym - dop. red.) nów mianowany naczelnik wydziału PUR (Polski Urząd Repatriacyjny), przydzielał mieszkania opuszczone przez Niemców, załatwiał zatrudnienie. Do Słupska przyjeżdżali także i osiedlali się tu całymi rodzinami wysiedleńcy z wschodnich województw, nieszczeniwi początkowo, zrozpaczeni faktem, że zostali ofiarami podziału Polski z oddaniem zaburza sowiecom.

Nowa mała ojczyzna

No, ale Słupsk był nie tylko do zaakceptowania przez nowych osiedleńców. Przed wojną Niemcy nazywali go małym Paryżem (kleine Paris), szczylicili się nim, demonstrowali, jako bogaci handlowcy to, że akceptują narodowy socjalizm, nic dziwnego, że inwestowali w ten zwyrodniały ruch polityczny. A warto dodać, że kiedy ruszyli wjechali czołgami do Słupska, nie zastali tu krzty niczego, co nazywano oporem, biciem się o każdy skrawek ziemi, każdą ulicę.

W ten sposób Wehrmacht i żołdacy formacji hitlerowskich SS, dali przeciwnikowi do zrozumienia, że nie życzyliby sobie wspominać Słupska, jako pożogi i totalnego zniszczenia.

Komfort z niewyobrażalnym bogactwem, mieszkaniem starego rynku jakich przeciętny sowiecki żołnierz nie widział, tak bardzo ich rozświeciło, że to unikalne centrum miasta, symbol kapitalizmu i imperializmu, puścili z dymem, zostawiając jedynie (szkoda, że całkowicie nie ocalała) starą, unikalną architekturę katedrę z czternastego wieku.

Reszta zabudowań miejskich i kompleksów architektury gotyckiej została nietknięta. Przypomnijmy jeszcze, że Słupsk (potem Stółp) stanowił stary, słowiański gród obronny i warowny z podgroziem przy szla-



ku z Gdańska do Szczecina. Mieszko I włączył tereny do Polski (stał symbolem i znaki czasów w różnych starych zabudowaniach, zwłaszcza sakralnych). W 1230 roku nastąpiło zajęcie Słupska przez książąt gdańskich, a po ich śmierci przejście jako wiana we władanie książąt Rugii. Prawa miejskie Słupsk otrzymał w 1310 r. I przechodzenie miasta z rąk do rąk: najpierw jako zastaw miastem władali Krzyżacy, potem Branderburczycy i stał się silną germanizacją Słupska. W 1807 roku walczyli tu Polacy najpierw pod wodzą gen. Sokolnickiego potem Henryka Dąbrowskiego, którzy chcieli odnowy Polski. Swoje trzy grosze, niestety, wtrącili Kaszubi, którzy sporo namieszali.

Słupsk Rosjanie zajęli 8 marca 1945r. Niebawem ciągnęły tu pociągi towarowe z centrum Polski i z dawnych polskich ziem wschodnich. Długi proces zasiedlania z kłopotami, bałaganem, grabieżą mienia przez tak zwanych szabrowników, ale życie społeczne, w gruncie rzeczy dominowało i się utrzymywało pokojowo i egzystencjalnie. Przede wszystkim przed oczami dorosłych stało widmo kłopotów z dziećmi i młodzieżą w wieku szkolnym, nie mogła warstwa żywych istot marnieć, gnuśnieć i schodzić na margines życia. Idea uruchomienia jak najprędzej szkół podstawowych i średnich rozpałała umysły. Na szczęście

szkoły i szkolne obiekty nie zostały zajęte przez wojsko nasze i sowieckie, w końcu zdawano sobie sprawę z istoty problemu oświaty, z nauczaniem polskiej, osiadłej tu przyszłości narodu. Już w 1945 r. naukę rozpoczęli gimnazjaliści w Liceum Ogólnokształcącym, z którego w następnym roku wyszli pierwsi maturzyści, omen nomen ze Staszkiem Słifirskim z gimnazjum 333 w Końskich. Wysocki, ładny chłopak, partyzant kieleckich lasów, przedwojenny harcerz okazał się być wymśnionym siatkarszym. I to za nim poszło jak stado za przywódcą.

Nasza szkoła

Wkrótce otwarto Liceum Pedagogiczne, następnie Liceum Handlu i Administracji (ze specjalnością handlu morskiego). I tu znowu uczniami są autor książki, od 1941 wywiad AK a potem żołnierz 3. pp. Leg. AK. II batalion „Szarego” (Antoni Heda, obecnie gen. bryg.) i Jurek Górski, oświecimianin z Końskich, uczeń liceum 333. Siatkarz; i zaraz zmontował drużynę, okazało się, że koledzy, już „wiekowi” wyjadacze, grali znakomicie w siatkówkę, koszykówkę, piłkę nożną. Łącząc się w szkolnej wspólnocie (w programie nauczania nie było jeszcze wf) organizowały się zespoły, drużyny, które rozgrywały turnieje, mecze w tym wyjazdowe, gdzie stawką dla zwycięskiej drużyny był ... uścisk dłoni burmistrza miasta bądź wojewody. Za podróże uczniowie płacili z własnych kieszeni, pieniądze często pochodziły z osobistych zarobków!!!

Pomazymy, powspominamy, odajmy się zatem duchowi tamtych zamierzających czasów. Ulubionym w handlowce był dla mnie pół nauczyciel, pół handlowiec, pół językoznawca (popisywał się znajomością angielskiego). Nic nie umiałem z przedmiotu, jaki wykładał, mógł zanudzić na śmierć każdego, dla którego woda była wodą a morze z jego służebną funkcją tylko morzem, mieliśmy doń blisko, jako że ze Słupska do Ustki (około 17 km) pociągiem jechało się 20 minut, zresztą mieszka-

łem w Ustce, gdzie mój ojciec był komendantem portowej straży pożarnej. Czego wobec tego mógł mnie nauczyć taki specjalista od polityki morskiej - wtedy myślałem, że niczego, chociaż później trochę było mi głupio, że przedmiot bagatelizowałem.

Ciekawy problem stanowił fakt, że bez wyjątku wszyscy z licealistów przed południem pracowali, dlatego nasza handlowka była szkołą popołudniową. Jakże cierpieliśmy z tego powodu, zwłaszcza, że gdy dni były krótsze nie załapywaliśmy się na gry w piłkę nożną, siatkową. Wszakże Jurek Górski, piękny blondyn z falowanymi włosami i oczami koloru nieba, był pupilem dyrektorki. Mając taki atut w ręku miał wszelkie możliwości. Nie nadużywał tego, przeciwnie, bardzo się starał o to, by brylować w nauce i szkolnych obowiązkach (stara zasada z gimnazjum 333) różnego zresztą typu.

Pewnego dnia pierwszego roku liceum dyrektorka wezwała pupila na rozmowę. Gdy wrócił miał rozpromienioną twarz i oczy szeroko otwarte, zawołał naszą usportowioną pakę i powiedział:

-Dyrektorka mianowała mnie gospodarzem życia sportowego w szkole...

-Jakiego życia, tu nawet nie ma jego śladu - ktoś mu przerwał.

-Ale będzie, otrzymywał dobrą wieść, że szkolna sala gimnastyczna pójdzie do renowacji, by chłopcy i dziewczęta mogli ćwiczyć i grać w piłkę - dumnie Jurek wypiął pierś i dodał: zostałem jakby społecznym szefem nowego przedmiotu, powołamy zespoły, rozgrywki wejdą do kalendarza imprez, zresztą dotyczy to różnorakich zajęć jakie stają się faktem w życiu szkoły.

No nareszcie, nasze niewolnictwo, praca nauka, nauka praca, egzaminy i dodatkowe zajęcia - koniec z tym, niech żyje sport przed lekcjami i po zajęciach szkolnych. Ciemna dotychczas sala gimnastyczna niech zaświeci blaskiem lamp, a parkiet posłuży za pole walki sportowej.

Hurra, brawo Jurek! Brawo pani dyrektor szkoły, wiwat na cześć szkolnego sportu!!!

Sport i teatr w szkole

Wszakże pani dyrektor (Sonia Strzelczyk - przyp. red.), raczej do brodziejka a nie entuzjastka sportu, za wszelką cenę pragnęła w liceum tworzyć nastroj życia kulturalnego, w związku z tym wsłuchiwała się w to, jaką polszczyzną posługują się jej podopieczni: mówią poprawnie czy paplają, akcentują słowa na przedostatnią sylabę czy naciskają na pierwszą, co do dziś słyszymy w radiu i najczęściej, w telewizji, kiedy redaktorzy sprawozdają z jakichś niekoniecznie sportowych imprez. Dyrektorka mówiąc wprost szukała recytatorów. Wszyscy recytowaliśmy, choć zbyt dobrze to nam nie wychodziło. Ale nic to, dyrektorka powołała wnet zespół „aktorski”, bo miała już scenariusz na sztukę szkolną gotową do wystawienia na deskach sali sportowej liceum.

W szkole sportowej już jako szkrab, grałem na skrzypcach i w szkolnej orkiestrze wybiłem się nawet na granie tak zwanych pierwszych skrzypiec (dwie trzy osoby), potem od czasu do czasu miałem solówki dając taki lub inny koncert. A tu jakaś kła-

syczna sztuka Zapolskiej, chyba z obśadzeniem mnie w drugoplanowej roli. Nie była trudna, ale była nieprawdopodobnie nudna. Miałem jednak szczęście, bo kiedy zespół się dotarł (skłamałbym, że dobrze) i sztuczka miała ujrzeć światło dzienne, między żołnierzami, grupą uczniów z różnych liceum, a elewami CWMO (centrum Wyszkozenia Milicji Obywatelskiej), na jednym z placów, doszło do niezłej bójki. Pretekstem był zwrot młodego adepta na milicjanta do naszego kolegi, że jest niedorajdą, mimo partyzanckiego rodowodu.

Bójka nie przypominała jakiegoś marnego bijatyki, w CWMO szkolono adeptów na dżudoków, zapasników, bokserów, istniała w tamtym okresie w CWMO wspaniała drużyna pięściarska, bodaj raz wywalczyła drugą nowo tytuł mistrza polski, a występowali w niej wtedy już oficerowie milicji - Rynkowski w wadze półśredniej i Zakrzewski w wadze lekkiej, kadrowicze reprezentacji Polski.

W ferworze potyczek jeden na jednego trafiłem chyba na mistrza, który tak mi przyłożył, że moje prawe oko długo nie było do użytku. Nie ma tego złego co by na dobre nie wyszło, zagrać w sztuce szkolnej nie mogłem, zastąpił mnie kolega... również z gimnazjum 333 w Końskich, Domagała.

Uczniowie „Handlowki”

Jasne układy stwarzają dobrych przyjaciół, ale dyrektorka mi nie darowała - miałem kłopoty... z których wyszedłem zwycięsko.

Ta szkoła nie była szkołą zwyczajną, licealiści po pierwsze pochodzili z różnych stron Polski, wszyscy po okropnych przeżyciach partyzanckich, więźniowie obozów koncentracyjnych, sybiracy, zaburzanie. Każdy z różnych szkół o różnym poziomie nauczania, do tego pracownicy; urzędnicy słupscy, sprzedawcy w sklepach, a po południu ławy uczniowskie, często z zadumą, przemyśleniem uciążliwego dnia, niespokojni; co tam w domu, wśród najbliższych, co będzie jutro, pojutrze. Za miesiąc, za dwa i za rok? Gdzie znowu los zapędzi i co nowego zgotuje? A jakże, nasze liceum na Niedziałkowskiego działało normalnie jakbyśmy tutaj przychodzili dobrze nakarmieni w domu, wypoczęci i dobrze ułożeni rodzinnie, bez kłopotów, bo to się zostawia rodzicom. A my sami, tych rodziców albo nie mieliśmy albo byli gdzieś daleko, w dużych bądź małych miastach Polski centralnej.

Mimo to, a może właśnie dlatego uczniowska społeczność tworzyła zgrany, bardzo społecznie zaangażowany zespół, wzajemnie się przenikający i uzupełniający w potrzebach. Powstało wiele kolek współpracy i pomocy: masz trudności z księgowością? Dobra w tym jest Marysia, która chętnie ci pomoże, właściwie wam pomoże, bo takich niezbyt rozumiejących zawiłości ksiąg rachunkowych, z debetami, paginami winien - ma, było wielu. Każdy pamięta te domowe spotkania późnymi wieczorami i... wkuwanie. Bez tego ani rusz! Przecież do liceum nie trafilismy prosto po ukończeniu gimnazjum. Małe matury pochodziły z kompletów okupacyjnych i uczenia się przy świecach. Tak zwane zaciemnienie obowiązywało pod rygorami okupanta. (cdn.)

Mieczysław Bilski



Zdjęcie przyjaciół z Końskich. Od lewej stoją: Barbara Kledzik, Janek, Wiesława Ławacz, Mieczysław Bilski, siedzą od lewej: Anna Domańska, Zdzisław Kołodziej-ski, Urszula Kledzik (późniejsza żona Jerzego Górskiego).

Jubileusz „Wiarusów”

Już po raz trzeci, bo trzy lata mają „odrodzone” „Wiarusy”, odbył się koncert dla słupskiej publiczności. W dniu 18 lutego 2011r. Wojskowy Zespół Wokalny Zarządu Regionu Związku Żołnierzy Wojska Polskiego „Wiarusy” im. ppłk lek. Stanisława Szarmacha wystąpił na koncercie zorganizowanym przez Miejską Bibliotekę Publiczną w Słupsku.

Koncert zorganizowany został z dwóch okazji: 92 rocznicy urodzin Pana ppłk lek. Stanisława Szarmacha oraz z trzech urodzin i powołań do ponownego życia Wojskowego Zespołu Wokalnego „WIARUSY” im. ppłk lek. Stanisława Szarmacha.

Koncert odbył się w dwóch częściach, pierwsza poświęcona Panu ppłk lek. Stanisławowi Szarmachowi, a druga część WZW „Wiarusy”.

W pierwszej części członkowie zespołu śpiewali piosenki i pieśni napisane przez Tadeusza Mazurkiewicza z muzyką i aranżacją Stanisława Szarmacha. Prowadzący koncert prezes ZR ZZWP a zarazem kierownik Zespołu przypomniał życiorys Stanisława Szarmacha oraz jego zasługi w dziedzinie medycznej, muzycznej, filozoficznej oraz w działalności społecznej, którą czynił dla dobra muzyki, społeczeństwa i Słupska. Wykonano 18 pieśni i piosenek o tematyce żołnierskiej, patriotycznej, partyzanckiej i... o miłości – chociaż chyba wszystkie żołnierskie pieśni są o miłości.

Prowadzący koncert powiedział m. in. tak o naszym patronie: Pan ppłk lek. Stanisław Szarmach urodził się w 21.02.1929 roku w Starogardzie i tam ukończył szkołę powszechną i gimnazjum. W 1937 roku rozpoczął naukę w Akademii Medycznej w Poznaniu na wydziale lekarskim. W 1939 roku został aresztowany przez gestapo, w 1940 wywieziony na przymusowe roboty w głąb Niemiec, tam zmuszono Go do pracy na rzecz Rzeszy Niemieckiej. Koniec wojny zastał Go w Danii. W 1946 powrócił do kraju i podjął przerwane studia. Bardzo dużo pracował na rzecz muzyki, muzyka była jego pasją. Po studiach pracował w Starogardzie i szpitalu psychiatrycznym w Kodzborowie. W dniu 21.07.1951r. ożenił się z Panią Ireną Ochłą. W latach 1955-1960 kierował żeńskim zespołem „TRIO” i męskim kwartetem „ECHO” przy słupskim Domu Kultury „Kolejarz”. Nadszedł rok 1968 przełomowy w muzycznym życiorysie Stanisława Szarmacha, a to z uwagi na fakt, że 30.11.1968r. w Klubie Oficerskim odbyła się premiera powołanego do życia Męskiego Zespołu Wokalnego „WIARUSY”. Zatem w tym roku mija 43 lata od jego powstania. Nadmienić należy, że „Wiarusy” są rówieśnikami Żeńskiego Zespołu Tanecznego „ARABESKA” – chociaż trochę dostojniej wyglądają – dokończył prowadzący.

Nikt wówczas, w roku 1968, nie przypuszczał, że rozpoczynała się dwudziestoletnia przygoda Stanisława Szarmacha z najpopularniejszym Zespołem Wokalnym w historii naszego miasta. Pan ppłk Stanisław Szarmach zmarł 7 listopada 1988 roku, został godnie pochowany jako wielki człowiek na cmentarzu komunalnym w Słupsku na kwaterze 3., rząd 18., miejsce 5.

W drugiej części koncertu prowadzący podkreślił, że „odrodzony” zespół „Wiarusy” powstał z inicjatywy

Panów: mjr rez. Andrzeja Obecnego i kmdr. Ryszarda Kwiatkowskiego, przy udziale ppłk rez. Zdzisława Iwińskiego. Dzięki tym trzem panom w dniu 22 lutego 2008r. w Klubie Garnizonyowym powołany został do życia Wojskowy Zespół Wokalny „WIARUSY” im. ppłk Lek Stanisława Szarmacha. Pomysłodawcą nazwy był Pan Andrzej Obecny.

Pierwszy koncert Zespołu odbył się w Parku Kultury i Wypoczynku w dniu 12.06.2008r. okazji VIII Integracyjnego Spotkania Służb Mundurowych. W repertuarze były tylko trzy albo aż trzy piosenki żołnierskie i patriotyczne a publiczność i tak płakała ze wzruszenia. Wówczas podjąłem decyzję jako prezes ZR ZZWP, że WZW będzie śpiew i bał publiczność, bo jest potrzebny. Dziś WZW liczy 20 członków, kierownikiem muzycznym jest kol. szer. mgr Sławomir SROKA, a Kierownikiem Zespołu ppłk Romuald DETMER.

W swojej trzy letniej działalności uczestniczyliśmy w dwóch Międzynarodowych Festiwalach Pieśni Patriotycznej i Żołnierskiej: w 2009 roku w Świętogsoku i w 2010 roku w Mrągowie – z obu festiwali powróciliśmy z nagrodą.

Romuald Detmer



O „żółtoliczych diabłach”

Centrum Kultury i Języka Rosyjskiego w Słupsku z okazji Święta Obrońcy Ojczyzny przypadającego w dniu 23 lutego gościło uczestników drugiej wojny światowej, którzy swoją walkę z niemieckim okupantem rozpoczęli w szeregach Armii Czerwonej lub radzieckiej partyzantki. Byli to: ppłk Olgierd Rychter, ppłk Aleksy Zięciak, por. Aleksander Wasiuszko i por. Jan Macko.

Swoim kolegom towarzyszyli kombatan-ci i żołnierze Wojska Polskiego: ppłk Stanisław Moroz, ppłk Zdzisław Lewandowski, ppłk Zenon Klemenczak. Rolę gospodarzy pełnili prof. Galina Niefagina, kierownik Centrum pani Anna Łańska i kmdr Ryszard Kwiatkowski. Wspomnieniom weteranów przysłuchiwała się młodzież akademicka i członkowie Związku Żołnierzy Wojska Polskiego

Obchody święta rozpoczęto od wywieszenia flagi Rosji na siedzibie Centrum. Następnie delegacja pracowników Centrum, studentów i przedstawicieli ZZWP udała się na słupski cmentarz, gdzie złożono pod pomnikiem żołnierzy radzieckich wieniec w barwach narodowych Rosji.

Późnym popołudniem w siedzibie Centrum odbyło się sympatyczne, wspomnieniowe spotkanie z mieszkańcami Słupska, którzy w okresie drugiej wojny światowej służyli w szeregach Armii Czerwonej. W barwny sposób opowiadali oni historie wcielenia do radzieckiego wojska. Przeważnie był to pobór młodych ludzi z terenów zesłań lub zajętych przez Rosjan w 1939 roku lub wyzwolonych w latach 1943-44.

Młodzi ludzie słuchali opowieści starszych, ponad osiemdziesięcioletnich panów z niedowierzaniem, że wszystko o czym mówili człowiek mógł znieść i przeżyć. Dużo było wątków dotyczących sytuacji, gdy ocierali się o śmierć lub kalectwo. Pan Jan Macko opowiadał jak podczas jednego boju otrzymał cztery rany, z których każda mogła być śmiertelna. Interesujące było jego opowiadanie o walkach w Mandzurii, gdzie zakończył swoją wojenną tułaczkę we wrześniu 1945 roku, po kapitulacji „żółtoliczych diabłów” jak to określił pan Macko.

Wspomnienia Aleksy Zięciaka dotyczyły walk z jego udziałem w szeregach partyzantki radzieckiej, do której uciekł będąc na Polesiu, gdy zgi-

nęła jego cała rodzina. On kilkunastoletni chłopak nie miał innego wyjścia jak schronić się w lesie.



List Czytelniczki

Panie Redaktorze!

Rozmawialiśmy o tekście Pana Tomasza Włodkowskiego w dzisiejszym wydaniu „Mojego Miasta”. Proszę w imieniu Pań naszego Koła i moim o sprostowanie:

W turnieju Koła Gospodyń Wiejskich w Jezierzycach brało udział 9 kół, każde miało przydzielony numer i nie trudno było to zauważyć (niekoniecznie trzeba mieć liczyć do dziewięciu).

My (KGW ze Stowięcina – dop. red) miałyśmy właśnie „dziewiątkę” i brałyśmy udział we wszystkich konkurencjach zajmując IV miejsce.

Jest nam przykro, że ktoś tak tendencyjnie napisał tylko o swoich, a Stowięcino pominął. Wygranym

gratulujemy i życzymy sukcesów w województwie (gratulowałyśmy sobie wzajemnie po ogłoszeniu wyników bo znamy się z niektórymi Paniąmi z Wrzącej).

Panie Redaktorze, chętnie spotkamy się z Panem i pogadamy o tym co robimy i co się w Stowięcinie dzieje. Czekam na telefon od Pana.

Pozdrawiam

Ewa Piepka Przewodnicząca
KGW Stowięcino

Odp. Redakcji:

Szanowna Pani Ewo

Rzeczywiście zostały Panie pominięte w relacji z turnieju Koła Gospodyń Wiejskich w Jezierzycach autorstwa Pana Tomasza Włodkow-

Równie ciekawie i barwnie swoje losy opowiadali inni kombatan-ci. Spotkanie przedłużyło się do późnych godzin.

Czas ucieka, coraz mniej jest wśród nas świadków tamtych okropnych, wojennych dni. Tym bardziej jesteśmy im wdzięczni za walkę o niepodległą Polskę, wdzięczni jesteśmy za to, że chcą dzielić się z nami swoimi wspomnieniami i z radością przyjeżdżamy na spotkania za rok.

Zygmunt Zawisza

skiego. Owo zaniedbanie nie wynikało jednak ze złej woli, a jedynie z niewy tłumaczonego przeoczenia. W imieniu Pana Tomasza i swoim serdecznie przepraszam.

Nie ma jednak tego złego...

Po pierwsze; mają Panie okazję zaprezentować się na łamach gazety „Moje Miasto”. Po drugie; przyjmuję zaproszenie do Stowięciny na spotkanie z Kołem Gospodyń Wiejskich, z którego powstało szersze wydanie o Waszej działalności, sukcesach i... problemach. Po trzecie; mail, który otrzymaliśmy świadczy o tym, że jesteśmy czytani w „dalekim” Stowięcinie.

Serdecznie pozdrawiam i do zobaczenia.

Andrzej Obecny

Miejscowości gminy Kobylnica

Słonowice

Miejscowość leży w południowo-zachodniej części gminy Kobylnica, przy drodze lokalnej, odchodzącej w Reblinie od szosy krajowej ze Słupska do Sławna, wiodącej przez Runowo i Słonowice do Wrzącej. Oddalone są 14 km od Słupska, 17 km od Sławna oraz 6 km od Sycewic. Teren, który zajmuje wieś, jest lekko falisty, otoczony polami uprawnymi i ugorami, występują na nim niewielkie enklawy zalesienia. Granicę rozdzielającą ziemie należące do Dobrzęcina i Słonowic stanowi ciek wodny, dopływ Wieprzy wypływający od strony Runowa w stronę Wrzącej. Wschodnią granicę przyległości należących do Słonowic wytycza linia kolejowa ze Słupska do Miastka z przystankiem oddalonym od miejscowości o 2 km.

Nazwa wsi ma charakter patronimiczny i utworzona została od nazwy osobowej Słony. W 1505 r. nazywała się Slonnenitz, natomiast jej niemiecka nazwa przed 1945 r. brzmiała Gross Schlönwitz.

Wsie Słonowice i Dobrzęcino należały do rodziny v. Kleist, która przejęła je od v. Puttkamerów, gdyż Mathias v. Puttkamer w 1480 r. sprzedał Malechowo i nabył Komorczyn, Dobrzęcino i Słonowice. W 1510 r. część tych ziem figurowała jako zastaw dla v. Belowów. Nazwisko v. Below znane było w Słonowicach do 1549 r., a w Dobrzęcinie do 1640 r. W latach 1655-66 na liście właścicieli figurowały nazwiska v. Kleist i v. Krockow. To ostatnie zaistniało prawdopodobnie przez koligację z kobietą z rodziny v. Below. W 1756 r. jedna czwarta obszaru tych wiosek należała do rodziny v. Blumenthal z Kwakowa. W 1773 r. majątek był w posiadaniu rodziny v. Krockow.

W okresie wojen napoleońskich Słonowice zostały przez Francuzów podpalone, później ponownie je odbudowano. Do dziś nie wiadomo, jak wyglądała przedtem wieś, majątek oraz dworek. W 1840 r. grafini Walska v. Krockow wyszła za mąż za rotmistrza Hermanna v. Blumenthala z Kwakowa, a później zmarła podczas porodu syna. W ten sposób cały majątek przejęła rodzina von Blumenthal i należał on do niej do 1945 r. Hermann v. Blumenthal zmarł w 1863 r., a ponieważ jego syn, rotmistrz Vally von Blumenthal, w 1886 r. kupił inną posiadłość, to Słonowicami w latach 1863-1924 zarządzał administrator o nazwisku Strömer. Po śmierci Vally'ego majątek przejął prof. dr Albrecht von Blumenthal. W 1924 r. zarząd dobrami przejął jego brat Robert v. Blumenthal.

W maju 1939 r. spalił się dwór wraz z kilkoma oborami, jedną z nich odbudowano w 1941 r., odbudowę dworu odłożono na czas pokoju, lecz nigdy nie doszła ona do skutku. W skład spalonego dworu wchodził dom dziedzica, stodoły i obory. Za domem dziedzica położony był budynek, w którym pracował inspektor, a obok ulicy park z dwoma stawami i dużą liczbą starych drzew.

Ruthger v. Blumenthal pisze, iż położony w centrum wsi, eklektyczny kościół mógł zostać zbudowany w XIII-XIV w., lecz z ówczesnej budowli zachowała się tylko dzwonnica. Początkowo była ona wyposażona w dwa dzwony, jednak podczas pierwszej wojny światowej jeden z nich zdjęto i przetopiono. Dzwon ten pochodził prawdopodobnie z XIV w., na co wskazywał umieszczony na nim napis. Pozostałą część istniejącego do dziś kościoła zbudowano po 1892 r.

Nieco inne informacje odnajdujemy w karcie ewidencyjnej kościoła Służby Ochrony Zabytków. Uznano w niej bowiem za L. Boettgerem, iż wieża świątyni pochodzi prawdopodobnie z XV w., a także, iż do 1892 r. istniał jeszcze średniowieczny korpus. Był to obiekt założony na planie prostokąta, bez wyodrębnionego prezbiterium, z prostokątną kruchtą od południa. Sporządzająca kartę Dorota Cieślik uznała, że obecny kościół pochodzi prawdopodobnie z przełomu XIX i XX w. Wiadomo, że 11 sierpnia 1807 r. na skutek pożaru kościół znacznie ucierpiał.

Budowla ma jedną nawę, od zachodu wyższą wieżę, a od wschodu prostokątne prezbiterium. Przy nim, od północnej strony, znajduje się zbudowana na planie prostokąta zakrystia, a do nawy od po-

łudnia przylega kruchta. Dawna wzniesiona została na planie kwadratu.

Kościół parafialny pw. św. Stanisława Kostki ma bryłę zwartą, jest oparty na nieregularnym wątku krzyżowym i murowany z cegły, osadzony na kamiennych fundamentach. Nawa główna jest jednokondygnacyjna, wież - dwukondygnacyjna, prezbiterium, zakrystia i obydwie kruchty są niższe.

Zabytkowe wyposażenie obiektu stanowi ambona z drugiej połowy XVII wieku, ozdobiona figurami czterech ewangelistów, chrzcielnica z 1658 r., granitowa kropielnica z XIII-XIV w. oraz ołtarz, ławki i empora z końca XIX w. Po wkroczeniu do Słonowic wojsk radzieckich, kościół został zdewastowany; żołnierze rosyjscy obiekt podpalili, części organów leżały później porozrzucone w promieniu kilkuset metrów.

W 1968 r. ks. Zdzisław Serwa SDB doposażył świątynię w ołtarz główny sprowadzony z parafii pod wezwaniem św. Teresy w Łodzi. Figury: Serca Pana Jezusa, Matki Boskiej Niepokalanej i św. Józefa, umieszczone w tymże ołtarzu, sprowadzono zaś ze Śląska. Przerobiono też ołtarz boczny - zdobiący go wcześniej obraz Jezusa Ukrzyżowanego przeniesiono do kruchty, a wstawiono sprowadzony z Warszawy obraz Matki Boskiej Częstochowskiej.

W 1973 r. obok kościoła zbudowano nową dzwonnice i zawieszono na niej dzwony: Świętego Stanisława ufundowali rodzice, Aniołów Stróżów natomiast młodzież. Obydwa dzwony wykonane zostały w firmie ludwisarskiej Jana Falszyńskiego w Przemyślu. W 1981 r. położono na kościele dachówkę, a w październiku 1986 roku, staraniem ks. Andrzeja Pastwy SDB, wymieniono pokrycie wieży. Kubatura obiektu wynosi 1849 m sześc., a powierzchnia użytkowa 257 m kw. Kościół ujęty jest w rejestrze zabytków pod numerem A- 403.

Powierzchnia cmentarza przykościelnego w Słonowicach wynosi 0,45 ha. Jego pierwotne założenie określa się na XV wiek. Podobnie jak kościół zlokalizowany jest w centrum wsi, na terenie równym. Zachowane zostały granice pierwotnego układu przestrzennego, natomiast dawny układ kwater i nagrobków został zatarty. Teren cmentarza porasta murawa i luźny drzewostan, złożony z lip, kasztanowców, jesionów, klonów, grabów i świerków.

Nie używa się dawnego cmentarza ewangelickiego, założonego w Słonowicach w drugiej połowie XIX w. Nekropolia ta ma powierzchnię 0,56 ha i zlokalizowana jest w północnej części wsi, przy szosie z Dobrzęcina, na terenie równym, w otoczeniu pól uprawnych. Czytelne pozostały granice pierwotnego układu przestrzennego oraz zwarty układ kwater i mogił, lecz nie zachowały się nagrobki. Wzdłuż granic cmentarza rośnie szpaler 24 kasztanowców.

W otoczeniu pól uprawnych w 1950 r. założono w Słonowicach nowy cmentarz. Nekropolia zlokalizowana jest po północnej stronie wsi, przy szosie z Reblina. Jej powierzchnia wynosi 0,4 ha. Granice układu przestrzennego są czytelne, nie ma podziału na kwatery. Wzdłuż granic rosną szpalery drzew, w większości świerki.

Parafię pw. św. Stanisława Kostki w Słonowicach formalnie erygowano 3 maja 1976 r., z tym że początkowo była to parafia pw. Matki Boskiej Pocieszenia we Wrześnicy, z siedzibą w Słonowicach, a dopiero później przekształcono ją w parafię Słonowice. Samodzielnym wikariatem była już od 1963 r. Wcześniej świątynia w Słonowicach była kościołem filialnym parafii pw. Najświętszej Maryji Panny w Pałowie. Kościół w Słonowicach przez pewien czas obsługiwali również salezjanie ze Słupska, gdyż rozległy teren parafii w Pałowie stwarzał poważne problemy w obsłudze. Wikariusz z Pałowa, ks. Jan Romanowicz SDB, przez rok (1960-1961) mieszkał nawet w Zębowie. Ostatecznie jednak w 1962 r. przeniósł się do Słonowic, do wynajętego lokalu, i w ten sposób faktycznie rozpoczął usamodzielnienie Słonowic, chociaż odrębne księgi metrykalne chrztów, małżeństw i zmarłych prowadzono tu już od 1956 r.

W 1963 r. następcą ks. Romanowicza został ks. Józef Pazurek SDB. W 1965 r. zmienił go ks. Henryk Frączek SDB, którego z kolei 12 lutego 1967 r. zastąpił ks. Zdzisław Serwa SDB. On też po ustanowieniu parafii został w Słonowicach pierwszym proboszczem i urząd ten pełnił do lipca 1983 r. Z dniem 1 sierpnia tegoż roku następcą jego został ks. Andrzej Pastwa SDB i na stanowisku proboszcza pracował do wa-

kacji 1991 r. W latach 1989-1991 w pracy duszpasterskiej wspierał go ks. Zenon Kaplań SDB. W 1991 r. Zgromadzenie Salezjańskie zwróciło parafię w Słonowicach Diecezji Koszalińsko-Kołobrzeskiej. Pierwszym proboszczem diecezjalnym, ustanowionym 15 sierpnia 1991 r., został ks. Feliks Samulak. Podczas wakacji 2004 r. objął on urząd proboszcza w Jezierzycach, a proboszczem w Słonowicach został ks. Krzysztof Łachu.

Do parafii należały miejscowości: Słonowice, Bzowo, Dobrzęcino, Kczewo, Komorczyn, Runowo, Słonowiczki, Ściegnica, Wrząca, Zbyszewo oraz z gminy Sławno: Warszkówko, Tychowo i Wrześnica. W dwóch ostatnich znajdują się również kościoły filialne. W 1998 roku erygowano parafię w Warszkowie i przyłączono do niej z parafii Słonowice Warszkówko oraz Wrześnicę; miejscowości należące do gminy Kobylnica nadal pozostały przy parafii słonowickiej. We Wrzącej w latach 90 - tych wybudowano nową kaplicę, w której również odprawiane są msze św.

Do końca lat 80 - tych XX w. plebania mieściła się w połowie starego domu położonego opodal kościoła. Wtedy wybudowano nowy dom parafialny. Ks. Cezary Lesikowski - kapłan Diecezji Koszalińsko-Kołobrzeskiej, ks. Adam Michalski SDB oraz urszulanka s. Elżbieta Stępniewska. Parafia należy do dekanatu Sławno.

Decyzję o otwarciu Szkoły Podstawowej w Słonowicach podjął Inspektorat Szkolny w Sławnie. Nauka rozpoczęła się 1 października 1948 roku. Początkowo pracował tu tylko jeden nauczyciel Jan Grzybowski. Od grudnia 1955 r. nadzór nad szkołą przejął Wydział Oświaty Powiatowej Rady Narodowej w Słupsku. W 1956 r. placówka realizowała pięcioletni program nauczania, w roku następnym już sześcioletni, zaś od września 1966 r. ośmioletni. Po likwidacji Gromadzkiej Rady Narodowej we Wrzącej w 1972 r., Szkoła Podstawowa w Sycewicach znalazła się na terenie Gromadzkiej Rady Narodowej w Kobylnicy, a w 1973 r., po likwidacji gromadzkich rad narodowych, dyrektor szkoły sycewickiej został przewodniczącym Gminnej Rady Narodowej w Kobylnicy.

W 1948 roku stan techniczny oraz sanitarny obiektów szkolnych był fatalny. Nowe pokrycie dachu na budynku szkolnym położono dopiero w lipcu 1957 r. Trzy lata później wokół boiska zasadzono krzewy, a następnie okolonono je żelbetonowym ogrodzeniem. W 1961 r. dokonano dalszych remontów, ponadto szkoła otrzymała drugi budynek. Stare obiekty ciągle jednak nie były funkcjonalne i dostrzegano konieczność wybudowania nowej szkoły. W lutym 1967 r. inwestycję postanowiono przyspieszyć. Powołano Społeczny Komitet Budowy Szkoły, jego przewodniczącym został kierownik Zakładu Rolnego w Dobrzęcinie, inżynier Wacław Jęchorek. Budowę prowadzono pięć lat. Nowy obiekt szkolny oddano do użytku w pierwszej połowie 1991 r., nieco później dokonano halę sportową. Szkoła w Słonowicach to okazały obiekt z salą gimnastyczną wyposażoną w nowoczesny sprzęt, mieszczący także kilka pracowni przedmiotowych.

W latach 1999-2000 absolwentami byli uczniowie klas ósmych, a od 2001 r. są nimi uczniowie klas szóstych. Pierwszym kierownikiem, a później dyrektorem szkoły był Jan Grzybowski 1948-1981, po nim stanowisko dyrektora obejmowali kolejno: Małgorzata Wolniszewska 1981-1983, Maria Mickiewicz 1983-1989, Jacek Kantowski 1989-1992, Anna Kamińska 1992-1997, Marek Labuda 1997-2002 i Jolanta Bojarska 2002..

W roku szkolnym 1996-1997, po zasięgnięciu opinii uczniów, na posiedzeniu Rady Pedagogicznej zaproponowano, by szkoła przyjęła imię Książąt Pomorskich. Projekt sztandaru wykonał Grzegorz Kamiński, a ufundował go Urząd Gminy w Kobylnicy. Podczas uroczystego nadania szkole imienia, sylwetki książąt na tle dziejów Słupska przedstawił prof. Zygmunt Szulka, obecni byli również historycy słupscy oraz przedstawiciele Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku, którzy zadeklarowali utrzymywanie stałych kontaktów ze szkołą.

Do sołectwa Słonowice należy również Dobrzęcino i jako sołtysi w dokumentach figurują: Teodor Misków (wymieniany w latach: w latach 1951, 1953 oraz 1959), J. Konieczny (1954), Władysław Jopek 1973, Walenty Nowak (1984, 1990 - 1994) i Stefan Piszek 1994...

Eugeniusz Grzegorz Wiązowski





Dzień Jedności Kaszubów w Słupsku

Od siedmiu lat obchodzone jest corocznie kaszubskie święto zwane Dniem Jedności Kaszubów. Pierwszy odbył się 19 marca 2004 roku w Gdańsku, a od 2006 roku, dzięki aktywności Marka Wantoch-Rekowskiego, wzbogacono go wspólnym muzykowaniem akordeonistów Cztery następne, po gdańskiej edycji odbyły się w powiecie bytowskim w miejscowościach: Tuchomiu, Kramarzynach, Miastku i Bytowie – ostatni w Kartuzach.

Dzień Jedności Kaszubów jest świętem ustanowionym na pamiątkę pierwszej pisemnej wzmianki o Kaszubach z 19 marca 1238 roku. Pismem tym był wystawiony przez papieża Grzegorza IX dla książąt Zachodniego Pomorza tytuł „dux Slavorum et Cassubia” (książę Słowian i Kaszub). Tytułu tego używał książę Barnim I (1210 – 1278).

Dzień Jedności Kaszubów ma przypominać ponad półmilionowej społeczności kaszubskiej jej własną historię, uświadomić tradycję i zintegrować ją wewnętrznie. Tradycja ta, czego sobie na co dzień zazwyczaj nie uświadamiamy, sięga bowiem połowy VI w. po Chrystusie, kiedy to słowiańscy przodkowie Kaszubów zasiedlili południowy brzeg Morza Bałtyckiego.

DJK jest jedną z największych imprez regionalnych, podczas której jest m.in. organizowana próba „bicia” akordeonowego rekordu Polski w jednoczesnej grze na akordeonie – tj. wspólnego zagrania na tym instrumencie wybranych melodii kaszubskiej przez jak największą ilość „harmonistów”. Ubiegłoroczna próba pobicia rekordu ilości grających jednocześnie była udana. W Kartuzach równocześnie na akordeonie zagrało 268 instrumentalistów.

W programie święta jest także zawsze przewidziana prezentacja wyrobów kuchni regionalnej oraz wystawiane są również liczne stoiska z twórczością ludową. W ramach



mach DKJ odbywa się tradycyjny turniej gry w „kaszubską Baśkę”. Słowem każdy uczestnik tej imprezy może znaleźć podczas tego „Dnia” coś miłego dla siebie.

Głównym organizatorem Dnia Jedności Kaszubów jest pomysłodawca imprezy – pan Marek Wantoch Rekowski z Gochów, którego wspomaga Henryk Telesiński prezes Oddziału ZKP w Miastku.

Tegoroczna edycja Dnia Jedności Kaszubów odbędzie się w Słupsku. Organizatorzy serdecznie zapraszają chętnych do wspólnej gry na akordeonie utworów: „Od błot-

ka do błotka” oraz „To je naszo zemnia”, celem ustanowienia nowego kaszubskiego rekordu Polski w jednoczesnej grze na akordeonie.

Tym razem próba bicia rekordu zorganizowana zostanie w dniu 20 marca 2011 roku, w Zespole Szkół Ogólnokształcących nr 3 w Słupsku, przy ul. Marii Zaborowskiej 2.

W ustanowieniu rekordu może uczestniczyć każdy bez względu na wiek, płeć, wyznanie, narodowość i miejsce zamieszkania. Czas konkursu będzie wynosił około 5 minut. Każdy z uczestników posiada przy sobie akordeon, obojętnie jakiej marki. W trakcie prób utwor grający wszyscy akordeoniści bez wyjątku. W próbie mogą uczestniczyć zarówno profesjonalści, jak i amatorzy. Przed rozpoczęciem oficjalnej próby organizatorzy Dnia Jedności Kaszubów policzą dokładnie uczestników imprezy. Rekord rozpocznie się na znak dany przez Głównego Organizatora Dnia Jedności Kaszubów w Słupsku. Rekord zostanie zatwierdzony po równoczesnym ukończeniu grania przez wszystkich uczestników. Próby rozpoczynają wszyscy uczestnicy bez wyjątku od godziny 12.00 – kończąc oficjalnie o godzinie 17.00 finałowym występem.

Rekord będzie obserwowany i udokumentowany przez organizatorów Dnia Jedności Kaszubów w Słupsku, a następnie informacja o nim będzie opublikowana w mediach ogólnopolskich. Organizatorzy DJK po zatwierdzeniu rekordu wręczą akordeonowym rekordzistom okolicznościowy certyfikat.

Zbigniew Talewski

Kaszubskie legendy

Baśń o rybaku

Mieszkał sobie w wiosce jeden rybak. I pojechał na połów ryb, założył sieci i złapał jedną rybkę, założył drugi raz i złapał drugą rybkę, założył trzeci raz i złapał trzecią rybkę. Tak złapał do trzech razy. I kiedy chciał puścić trzecią rybkę w wodę, rybka mówi do niego:

- A weź mnie, weź mnie, na trzy części rozetnij i daj pierwsze dzwonko żonie, a drugie szkapie, a trzecie suce, a ze mnie kości wszystkie weź i schowaj w ziemi.

Wtem kobieta jego została brzemienna, tak samo kobyła, tak samo i suka. Kobieta urodziła dwóch synów, bliźnięta, i tak samo kobyła ozębowała się, i miała dwa źrebaki; oszczeniła się i suka, i miała dwa pieski - wszystko po parze. I tak rośli wszyscy razem aż do tych lat, w których czas im było wyjeżdżać na wojnę.

Dopiero ojciec z matką rozpaczał! Ale oni rodziców nie słuchali i uzbrowili się w broń, która im wyrosła z tych kości, co je ojciec pochował pod ścianą, i ruszyli w drogę. Matka im tylko to jeszcze powiedziała:

- Macie butelkę wody i gdzie się będziecie rozjeżdżać, tę wodę pod jakie drzewo schowajcie na rozstajnych drogach, a gdy który wróci do wody, a zastanie krew, to już drugi zginął.

I tak się rozjechali. Jeden udał się w lewo, drugi w prawo.

Ten, co się udał w prawo, przyjechał do pałacu, co w nim smok przeszkadzał. Królowna jedynaczka miała iść temu smokowi na pożarcie.

- Ja pójdę na miejsce królowny i smoka zwojuję - mówi.

Stanął przy norze, skąd smok siedem łbów mający, wychodził i wszystkie siedem pościła. Król mówi mu:

- Ode mnie już nie odjeżdżasz, tylko córkę moją wezmiesz za żonę.

I tak się ożenił. Razu pewnego, w nocy, zaczęło się okropnie błyskać nad morzem czerwonym.

- Co tam takiego, co tak błyszczy - pyta, a żona mówi:

- Chcesz tam jechać? Jeśli byś pojechał, to już byś nie powrócił.

On wstał rano, nie słuchał żony i wsiał na konia, wziął do uzbrojenia, w które był przystrojony, wziął konika i pieska ze sobą, i udał się w tamte strony.

Przyjechał do morza, gdzie leżały dwie szczapy dREW. Zdjął z sie-

bie pasek, te dwie szczapy związał, wprowadził konika i pieska, i tak się przewiózł za morze. I przybył do zamku zakłętego i wszedł, a nie widział żadnego człeka, tylko kamienie.

Wychodzi do niego baba. Piesek skacze na nią, a ona mówi:

- Paniczu, weź różdżkę ode mnie, a uderz tego pieska, bo mnie skałeczy.

Skoro wziął tę różdżkę i uderzył pieska, ten stał się kamieniem i koń kamieniem, i on sam kamieniem. Żona jego kazała swój zamek ciężką żalobą okryć, bo straciła męża.

Przyjeżdża brat jego do wody, którą schowali, i ogląda. Zobaczył krew i udał się w tę stronę, gdzie brat jego pojechał.

I przyjeżdża do tego zamku, gdzie brat jego wprzód przyjechał, i widzi żalobę.

- Dlaczego ten zamek tak przykryty? - pyta.

A królowna powiada:

- Ja myślałam, żeś zginął!

I szybko kazała to obdrzeć. Cieszyła się, że mąż powrócił, a on to wszystko udawał, bo chciał się dowiedzieć, jak brat jego tu zginął.

Tak samo położył się z nią spać, lecz wyjął miecz z pochwy i położył w środek pomiędzy nich, bo wiedział dobrze, że to nie jego żona.

Wtem, ujrzał błyskanie za morzem czerwonym.

- A co tam takiego tak błyszczy? - pyta ją.

- A, toś ty tam nie był? To ty nie wiesz? - odpowiedziała.

I tak się dowiedział, że brat jego tutaj nie zginął.

Rano, skoro tylko wstał, udał się tak samo w podróż, wzięwszy z sobą konika i pieska, i to samo uzbrojenie, w które był przystrojony. I przybył tak samo do morza, gdzie były dwie szczapy dREW. Zdjął z siebie pasek, te dwie szczapy związał, wprowadził konika i pieska, i tak się przewiózł za morze.

I przybył do zamku zakłętego, i wszedł, a nie widział żadnego człeka, tylko kamienie. "Zapewne tu mój brat zginął, bo jest koń i pies tak jakby ten sam", myślał sobie.

Wtem go złość tęga opanowała, wyrwał miecz z pochwy i powiedział:

- Muszę znaleźć tego człeka, co tyle ludzi potracił!

I wpadł pomiędzy gmachy pałacu, wodząc pieska przy sobie. A pie-

sek zaczął okropnie szczeleć. Wychodzi baba do niego i mówi:

- Weź ode mnie różdżkę i uderz tego pieska, bo mnie skałeczy.

A on na to:

- Tyś tutaj mego brata straciła, to i mnie chcesz stracić! Już ty ręce mojej nie ujdiesz!

I szczerze pieskiem babę, a ta mówi:

- Paniczu, mam ja tu wodę, którą polejesz brata i on wstanie.

- Ty mnie zdradzić chcesz, jak mego brata zdradziłaś - on mówi.

- Polej ty sama!

- Moja ręka nic nie będzie znaczyć, jak ja poleję - baba na to.

Więc się udał na dwór i przyniósł dwa kije. Kazał babie wsadzić między te kije butelkę i połał najpierw brata, który wstał i powiedział:

- A tom się wyspał, wyspał.

- Spałeś na wieki - brat mówi do niego.

I chodzili obaj bracia, i kamienie polewali, i dużo ludzi z tych kamieni ożywiało, i całe miasto obok zamku zakłętego poczęło się ożywiać.

Oni zaś powrócili do zamku i spostrzegł brat jeden, że na łóżku leży ładny kamyczek, i pokropił go wodą.

Wtem wstaje królowna tego zamku i powiada:

- A tom się wyspała, wyspała.

- Spałaś, królowno, na wieki - mówi on.

- Już ja teraz będę twoją żoną i twoje będzie to królestwo.

- Powrócę do ciebie, ale pojedę pierwszej do swych rodziców po błogosławieństwo - odrzekł i obaj pojechali.

I mówi brat jeden do drugiego:

- Pierwszej nocy, nim tu przyjechałem, spałem z twoją żoną.

- Spałeś? - on odpowiada i wyrwa miecz z pochwy, i ucina głowę bratu swojemu.

I udał się do żony swojej, a nie wiedział o niczym, aż się położył z nią spać, a ona mówi:

- A coś ty miał za grymas, żeś wyjął miecz i między nas w środek położył?

Myśli on: "To mój brat spał z moją żoną, ale sprawiedliwie". Szybko wstał i pomyślał sobie, że ma wodę, którą mu głowę poleje, to on wstanie. I przyjechał do brata, połał oną wodą. Brat powstał i przeprosił się.

I tak obydwaj powrócili do żony jego. Nie chciał brat drugi bawić tam, tylko do rodziców powrócił, którzy mu dali błogosławieństwo.

Udał się do zamku swojego i poślubił oną królowną, którą ożywił, i całe miasto było mu wdzięczne.

A rodziców wziął do siebie i chował ich aż do śmierci.



Ubiegłoroczny Dzień Jedności Kaszubów w Kartuzach z lewej Marek Wantoch Rekowski z prawej Henryk Telesiński.

Kaszubskie frykasy

Kaszubska okrasa z gęsin

Obfitość wód i łąk wytworzyła na Kaszubach nader dogodne warunki do hodowli gęsi i kaczek. Zwłaszcza zaś gęsi hodowano dawniej w tak wielkich ilościach, że zamożniejsi gospodarze mieli zwykłe stada od 40 do 50 sztuk liczące. Dziś, z powodu podniesienia się stanu wód w niektórych jeziorach i zalania łąk (południowe Kaszuby), a także przeobrażeń społecznych - hodowla gęsi w gospodarstwach indywidual-

nych zmalała. Mimo to, każdy rolnik trzyma jeszcze zawsze nieco wodnego ptactwa dla własnych potrzeb.

W związku z tą hodowlą, tradycyjnym pożywieniem Kaszubów stała się specyficzna okrasa gęsia, używana do kraszenia potraw. Gęsi bije się na Marcina (dawniej nawet do 12 sztuk u zamożnego „gbura”) a mięso ich łącznie z tłuszczem konserwuje się na zimę w osobliwy sposób. Całą gęś razem z kośćmi,

wyjawszy łapki i dziób, sieka się siekierą na drobno. Do siekania służy tzw. „skrzynówek” - niecki podobne do „koponek”, w których wyrabia się ciasto, tylko że są bardziej płaskie, płytko wyłobione o grubym dnie (spotkać je można w każdej chałupie kaszubskiej). W trakcie rozdrabniania siekanki, zasala się mocno. Następnie zaś wkłada do „kufła” - dużego kamionkowego garnka, silnie ubijając, jak kapustę.

Wymieniona siekanka gęsia stanowi ulubioną przez Kaszubów okrasę na zimę i lato. Trzeba tylko uważać na ostre odłamki kostek. /-/

Rocznicowych uwag kilka

Na początku 1945 roku Armia Czerwona zawiła na Pomorze i zaczęła realizować hasło zemsty: „Czerwonoarmista stoisz teraz na niemieckiej ziemi – godzina zemsty wybiła!”. Był to niejaki odzew na wykonaną dyrektywę Himmlera z inwazji na ZSRR z września 1941 roku: „Nawet najmniejsze dziecko w kołysce należy zdeptać jak jadowitą gadzinę.....”.

Rosjanie weszli do pomorskich wsi i miasteczek i w niejednej miejscowości pozostawili krwawe żniwo. Jednak ich system utrzymania porządku był banalnie prosty. Gdyby represyjnie potraktowali miejscowego SS –mana ludność uznałaby, że był on winien i że tak miało być. Dlatego chcąc wywołać strach i posłuch czerwonoarmiści zabijali osoby całkiem niewinne np. lekarza lub duchownego. Skutkowało.

Powodowało to, że Rosjanie nie musieli stosować masowych restrykcji. Nie znaczy to, że ich nie było. Owszem były. Dlaczego? Na pewno jednym z powodów była samowola żołdacka. Były też przypadki o których dziś się nie wspomina, a które wskazują, że terror nie był wcale taki przypadkowy a inicjatorami jego byli niewolnicy Rzeszy czyli robotnicy przymusowi.

Czytałem kiedyś zamieszczoną w Heimatgruß Rundbrief relację pewnej mieszkanki wsi Karpin k. Drawna, opisywała ona jak pijani czerwonoarmiści wybijali zacnych mieszkańców tej wsi. Co za draństwo – pomyślałem. Bezsensu tych działań nie mogłem zrozumieć. Zacząłem dalej szperać. Dowiedziałem się, że w tej wsi był w czasie wojny obóz jeńiecki, że byli robotnicy przymusowi itp. Przypadkowo znalazłem egzemplarz kolejnej gazety tym razem wydanej 17 lat po tej, którą uprzednio miałem w rękach. W tym „nowym” numerze powrócono do czasów wojennych w Karpinie. Co ciekawe autorką zamieszczonych tam wspomnień była ta sama pani.

Czy to wyrzuty sumienia, czy poczucie uczciwości spowodowało, że relacja w swym tonie była zupełnie inna. Rosjanami w Karpinie dowodził oficer ukraińskiego pochodzenia, który do brzo obchodził się z mieszkańcami. Co ciekawe we wsi utworzono także obóz dla Rosjan byłych jeńców zebranych z niemieckich wiosek lub podobozów. Mieli znacznie gorsze warunki jak miejscowa ludność. Buntoowali się, ale nie pomogło, wywieziono ich... Pewnego dnia gdy czerwonoarmiści zajmujący Karpin stali na zbiórce, ktoś rzucił w nich granatem odłamki zraniły jednego żołnierza. Zaraz po tym w majątku gospodarza Sella zapaliła się stodoła,

w której był składowany spiżus. Do akcji weszło NKWD i się rozpoczęło. Oficera zdjęto ze stanowiska. Rozstrzelano kilka osób w tym Sella, policjanta, miejscowego Ortsbauernführera i jakiegoś aparatczyka NSDAP, potem w wyniku działań NKWD ofiar przybywało.

Kilka osób wywieziono w głąb Rosji. Przypadek z Karpina spowodował, że gdy usłyszę, iż w jakiejś miejscowości, w stosunku do miejscowych, doszło do bezdusznej tragedii, wówczas pierwszą moją myślą jest pytanie „co tam się stało wcześniej?”. Niestety na ogół stało się. Nierzadko dotyczyło to dramatów jakie przeżywali będący na robotach przymusowych obcokrajowcy – niewolnicy. Bicia, poniżania, wykorzystywania... były na porządku dziennym, do tego dochodziły restrykcje z mordem lub obozem koncentracyjnym w tle.

Rosjanie wchodząc do zdobytych miejscowości spotykali robotników przymusowych a z tymi z Polski bardzo często mogli się swobodnie porozumieć, zwłaszcza, że gro z nich pochodziło z Kresów. Nie dziwi, że spośród robotników rekrutowali się przewodnicy i informatorzy którzy pomagali Rosjanom. Nie oszukujmy się, krzywdy zniewolenia zostały ujawnione. Czasem działała zwykła ludzka pazyerność czy złośliwość lub żądza władzy. Śmiem twierdzić, że znaczna część zamordowanych przez czerwonoarmistów była ofiarami zemsty nie w imię tej wypisanej na sztandarach, lecz tej z nieludzkie, poniżające traktowanie – jeńców, więźniów, robotników przymusowych, Żydów, za mordy, których było niemało. Tak, na Pomorzu mordowano i nie były to przypadki pojedyncze.

Rozstrzelanych, zamęczonych, zmarłych z braku opieki lekarskiej liczyć trzeba w dziesiątkach tysięcy. Do tego dochodzą ofiary licznych obozów i przechodzących przez te tereny marszów śmierci. Czy ktoś policzył ile jest bezimiennych grobów niewinnych ofiar niemieckiego państwa od Stutthofu do Polic?

Wątpię. Jestem przekonany, że setki tysięcy. Niestety ta martyrologia bywa już ignorowana. Zaczyna dominować martyrologia agresy-



Andrzej Szutowicz

Płk Wojska Polskiego z Drawna, z urodzenia Bytowianin, absolwent Wojskowej Akademii Technicznej, regionalista pomorski, specjalizuje się w historii wojskowości. Jest redaktorem historycznego kwartalnika lokalnego „Kawaleria”.

ra. Obserwujemy zjawisko, kiedy pięciomiesięczne cierpienia Niemców, zaczynają w lokalnej świadomości spychać w zapomnienie pięcioletnią gehenną Narodu Polskiego.

Gehennę wywołaną przez państwo tych, którym Rosjanie owe pięć miesięcy trwogi zaserwowali.

Coraz częściej dla podkreślenia nowych czasów wydarzenia z pierwszej połowy 1945 roku określa się mianem „zdobycie” a na tych co uparcie pozostają przy „wyzwoleniu” patrzy się jako na relikty oddziaływania propagandowego z minionego okresu. Tymczasem mając na uwadze, że na terenie Pomorza przebywało ponad 200 000 zniewolonych robotników przymusowych słowo „wyzwolenie” ma nadal sens.

Próbuje się zdyskredytować dorobek Polski na tych ziemiach przeciwstawiając jemu mit schłudnych i pięknych miasteczek niemieckich. Na dowód pokazuje się ładne koloryzowane kartki pocztowe, jednak jeśli ktoś włączy się w problem, zobaczy w tych miastach także rynsztoki, brud, wspólne toalety i wychodki często gorsze od naszych kresowych słowek.

Zmusza to do wyważania opinii gdyż niektóre pomorskie miasta były przez Polaków podnoszone z całkowitych ruin.

Patrząc na Gdańsk, Słupsk, Kołobrzeg, Szczecin uznać trzeba niewątpliwie dorobek Polski w przywracaniu świetności całego polskiego Pomorza. Ten postępowi widać także w Drawnie i Pelczycach.

Andrzej Szutowicz

Zginęli tragicznie

Dla nich – Niemców, przebywających w swoim Stolpie lub będących uciekinierami z innych terenów Rzeszy, dzień 9 marca 1945 roku na pewno nie był dniem wyzwolenia. Przynajmniej dla przytłaczającej większości, bo przecież nie wszyscy byli zwolennikami Hitlera i jego zbrodniczej ideologii. Wszyscy jednak ponieśli zbiorową odpowiedzialność. Jedni ginąc tragicznie, inni wybierając śmierć samobójczą, jeszcze inni przeżyli tragiczne wysiedlenie.

Czy ta gehenna Niemców w latach czterdziestych, na terenach wkraczania wojsk koalicji antyhitlerowskiej była zemstą, czy sprawiedliwością dziejową nie zamierzam na ten temat dyskutować. Jedno jest pewne, była konsekwencją wywołanej przez hitlerowskie Niemcy i ich sojuszników najstraszliwszej wojny w dziejach ludzkości, była konsekwencją woli narodu niemieckiego, który wybrał hitlerizm.

Chciałbym Szanownym Czytelnikom przedstawić imienną listę niemieckich mieszkańców naszego miasta, którzy zginęli śmiercią samobójczą w okresie od 8 marca 1945 roku do dnia 30 czerwca 1945 roku. Przyczyny samobójstw nie są znane, można się tylko domyślać lub snuć najrozsądniejsze domysły na ile były nim strach wywołany niemiecką propagandą, działalnością samobójcy w okresie niemieckiego nazizmu albo działaniami „wyzwoliciele”.

Zestawienie, zmarłych śmiercią samobójczą, wykonał przed wieloma laty pan Zdzisław Machura znany słupski historyk, na podstawie ksiąg cmentarnych, ja

tylko uzupełniłem i potwierdziłem. Wszyscy zmarli zostali pochowani na słupskim cmentarzu. Groby oczywiście już nie istnieją. W zestawieniu podano aktualne polskie nazwy ulic lub nazwy oryginalne. Skrót KS. oznacza numer ewidencyjny w książce zgonów z roku 1945, adres oznacza miejsce znalezienia zwłok lub adres zgłaszającego zgon. Nie wszystkie daty zgonu były podane w księgach, w takim przypadku podano datę pochówku.

Zmarli śmiercią samobójczą:

1. Georg Knosel, dr medycyny, lat 50, adres ul. Wojska Polskiego 6, zm. 8.03.45r., KS.5.
2. Fridrich Driksen, dentysta, 60 lat, adres ul. Wojska Polskiego 5, zm. 8.03.45r., KS.6.
3. Berta Zemke, wdowa, 60 lat, adres ul. Reymonta 13, zm. 15.03.45r., KS.32.
4. Hasenpusch, przy mężu, 50 lat, ul. Reymonta 13, zm. 15.03.45r., KS.33.
5. Nieznana, siostra Berty Zemke, 60 lat, ul. Reymonta 13, zm. 15.03.45r., KS.34

Marsz śmierci

Od końca stycznia do wyzwolenia przez Pomorze przemieszczali się tak zwane „marsze śmierci”. W taki sposób hitlerowcy ewakuowali więźniów obozów koncentracyjnych przed zbliżającym się frontem i Armią Czerwoną w latach 1944-45. Gнали ich w głąb III Rzeszy, gdzie mieli stanowić darmową siłę roboczą.

Według niemieckiego historyka Dietera Schenka – autora głośnej książki „Albert Forster gdański namiestnik Hitlera” – największe z nich dotyczyły więźniów obozu koncentracyjnego w Stutthofie i jego podobozów.

25 stycznia 1945 r. przypadkowo mieszkańcy Jeżewa stali się świadkami wydarzenia, którym bohaterami była ludność żydowska. Poniższą relację przedstawiam za Stanisławem Boruckim – autorem wspomnienia pt. „Zanim przyszła wolność”. Autor był naocznym świadkiem opisywanych zdarzeń (o pracy S. Boruckiego

pisał w „Czasie Świecia” z dnia 20 lutego 2009 r.).

W mroźny ranek 25 stycznia 1945 r. kilka osób, wśród których był S. Borucki, oczekiwało na jeżewskim dworcu na pociąg do Łaskowic. „Zbliżała się już godz. 8.30 kiedy to od strony Ciemnik dały się słyszeć wyraźnie strzały karabinowe, bądź to serie z automatów. Na stacji kolejowej poruszenie. Wychodzimy za budynek dworcowy od strony Jeżewka i wówczas to widzimy, że w naszą stronę podąża kawalkada cieni ludzkich, rozciągnięta długim sznurem wzdłuż torów kolejowych. Słychać

6. Reinhold Schroeder, rewleśniczy, 67 lat, ul. Deotymy 14, zm. 8.03.45r., KS.35.

7. Ingeborg Schroeder, pan-na, 18 lat, ul. Deotymy 14, zm. 8.03.45r., KS. 36.

8. Kathe Nehring zd. Schroeder, przy mężu, 39 lat, ul. Deotymy 14, zm. 8.03.45r., KS.37.

9. Franz Conrad, właściciel browaru, ? lat, ul. Kaszubska 3a, zm. 13.03.45r., KS.42.

10. Ernst Zaddach, kupiec, 51 lat, ul. Mickiewicza 48, zm. 11.03.45r., KS.44.

11. Elisabeth Mulert, dr medycyny, żona sędziego, 61 lat, adres ul. A. Krajowej 8, zm. 8.03.45r., KS.48.

12. Georg Pelz, inżynier, 70 lat, adres ul. A. Krajowej 32, zm. 8.03.45r. KS.49.

13. August Lawrenz, ?, 78 lat, adres ul. Moniuszki 18b, zm. 19.03.45r., KS.54.

14. Krause, przy mężu, 75 lat, adres ul. Kołłątaja 17, zm. 13.03.45r., KS. 56.

15. Walter Klotz, inspektor, 58 lat, adres A. Krajowej 36, zm. 20.03.45r., KS.58.

16. Matilde Maier zd. Neuman, wdowa po nauczycielu, 89 lat, adres ul. A. Krajowej 40, zm. 8.03.45r., KS.72.

17. Gertrude Maier, ?, 48 lat, adres ul. A. Krajowej 40, zm. 8.03.45r., KS.73.

18. Otille Girod zd. Neuman, 80 lat, adres ul. A. Krajowej 40, zm. 8.03.45r., KS.74.

dokończenie na str 16

wyrażnie szczekanie psów, falujące okrzyki ciżby ludzkiej. Widok ten przypomina wojnę obronną 1939 r., kiedy to Niemcy pędzili setki polskich jeńców wojennych. Tym razem jednak pędzą więźniów w pasiakach; z bliższej odległości okazuje się, że są to Żydówki. Coraz wyraźniej słychać nawoływania Niemców „los, los”.

Wreszcie pierwsze szeregi pędzonych równają się z budynkiem stacji kolejowej. Przed oczyma naszymi przesuwają się widma, wychudzone istoty ludzkie, w podartych pasiakach, niekiedy bez butów na nogach. A mroź jest przecież siarczysty. Żydówki poznaczają można było po złotych gwiazdach sześcioramiennych na plecach i rękawach. Eskortę stanowią wypaśli SS-mani w wysokich butach z pistoletami maszynowymi w rękach. W mniejszej ilości idą również rosłe SS-manki wymachujące pejcami i pistoletami. Eskorta dość liczna. Przy rosłych SS-manach kroczą wilczury, złowrogo, powarkując. Więźniarki starają się utrzymać jednostajne tempo; utrudnia je jednak pochód więźniarek słabych, prowadzonych wewnątrz szeregu. Każde potknięcie opóźnia marsz; powoduje interwencję eskorty.

Kawalkada szybko przesuwa się przed naszymi oczami, znacząc szlak przebyty ubitym śniegiem i plamami krwi gdzieniegdzie. Do ławki wkopanej przed budynkiem stacyjnym podchodzi jakaś młoda

dokończenie na str 16



Bałtycka Galeria Sztuki Współczesnej

www.baltic-gallery.art.pl e-mail: info@baltic-gallery.art.pl
Słupsk ul. Partyzantów 31a tel. +48 59 842 56 74

„NORMAN LETO, Sailor”

Wystawa Sailor to pokaz szczególnie: składające się na nią prace - pełnometrażowy film i powieść - powstawały blisko cztery lata i stanowią podsumowanie dotychczasowej twórczości Normana Leto. Również sam charakter dyptyku Sailor jest niezwykły - to prawdziwa rzadkość, aby artysta sztuk wizualnych tak sprawnie poruszał się w materii filmu i literatury.

Wszystko to sprawia, że wystawa Sailor poszerza twórczość Normana Leto o rozległe i istotne płaszczyzny, całkowicie redefiniując jej charakter. Norman Leto przed Słupskiem i po nim - to bez mała dwaj różni artyści. Sailor wymaga więc nie tyle wprowadzenia, co opowiedzenia sztuki Normana Leto od nowa.

Norman Leto to artysta osobny - samouk krok po kroku konstruujący oryginalny język wypowiedzi. Zakończył edukację na trzeciej klasie liceum ogólnokształcącego, postanawiając skupić się na nauce programów graficznych pozwalających odtwarzać i kreować rzeczywistość w najdrobniejszych szczegółach. Poświęcił się eksperymentom z formami i rozwiązaniami, które nie znalazłyby uznania w profesjonalnych studiach nastawionych na produkcję komercyjną. Leto akceptował niedoskonałości medium, dostrzegając w nich większy potencjał niż w perfekcyjnym cyzelowaniu wirtualnej rzeczywistości. Jego kompozycje zyskały specyficzną chropowatość, „pęknięcia” traktowane w studiach postprodukcyjnych czy reklamowych jako błąd w sztuce. I kto wie, czy to nie z racji tej niedoskonałości prace Leto są, paradoksalnie, bardziej przystępne niż animacje i grafiki „profesjonalistów” - tak dokładne, że aż nie-realne. Jednym słowem, kosztem rzemieślniczej pryncypialności, Norman Leto wypracował język znakomicie odnajdujący się w pejzażu sztuki współczesnej.

Wydaje się, że dotychczasowa recepcja prac Normana Leto jest nieprecyzyjna już z racji charakteru samego medium, w którym pracuje artysta. Stosunkowo często Leto uważany jest bowiem za artystę „nowych mediów”, „artystę ery wirtualnej” itp. Jednak w powszechnej opinii „sztuka cyfrowa”

kojarzona jest (zresztą, nie całkiem bezzasadnie) głównie z kiczowatymi grafikami i animacjami w rodzaju Katedry, gdzie techniczna wirtuozeria nieuchronnie zderza się ze ścianą kiczu. Z drugiej natomiast strony, na styku sztuki współczesnej i programistyki znajdujemy skrajnie hermetyczne roztrząsania artystów przekonanych, że ludzkość porozumiewa się systemem zero-jedynkowym, a historię programowania zna tak dobrze jak historię literatury. W obu wypadkach są to światy samowystarczalne, niedotykające szerszej rzeczywistości i w konsekwencji pozostawiające widzów obojętnymi, a w najlepszym razie zauroczonymi. Ta cokolwiek podejrzana proweniencja automatycznie spycha sztukę tworzoną za pomocą programów graficznych i programistycznych aplikacji do getta twórczości niepoważnej, „niskiej”, sytuującej się na granicy cudacznego hobby. Powiedzmy więc wyraźnie, że Norman Leto nie przynależy do świata grafiki komputerowej (pożegnał się z nim dawno temu), a nawet nie stoi pomiędzy światami sztuki i informatyki w rozkroku. Norman Leto to artysta, który programy graficzne traktuje neutralnie, jako narzędzie - dokładnie tak samo, jak zdarza mu się traktować farby, kamerę i tekst. Co więcej, w jego twórczości medium jest przezroczyste, nie wypycha się na pierwszy plan i nie absorbuje uwagi widza, który najczęściej w ogóle nie zdaje sobie sprawy, że ma do czynienia z grafiką, a nie ze zdjęciem. Leto pracuje na komputerze, jednak wydźwięk jego prac jest uniwersalny - film i powieść Sailor należy uznać za jeszcze jedną wypowiedź o „doli człowieka”. I w tym sensie twórczość Leto nie jest zasadniczo odrębna od twórczości innych artystów, choć jest od nich niewątpliwie osobna.

O czym opowiada więc Sailor, zarówno film, jak i książka? Zanim odpowiemy na to pytanie, powiedzmy kto opowiada - kto jest narratorem tej historii. Otóż jest nim... Norman, bowiem Sailor przynosi nam w końcu podmiot twórczości Leto - alter ego autora.

Norman Leto-autor ukazuje Normana-narratora z dużą dozą zrozumienia, jednocześnie przedsta-

wiając go jako jednostkę tragiczną, pokraczną i godną pożałowania; człowieka, któremu rozpada się nie tylko własny świat, ale także otaczająca go rzeczywistość. To codzienność bez tabu, ale i bez ryzyka; bezpieczna, lecz śmiertelnie nudna; oswojona, ale przewidywalna. Toczy ją entropia, co obserwujemy zarówno na przykładzie samego bohatera, jak i osób, z którymi się styka. A ostateczną formą entropii, w której pograżają się jednostki i społeczeństwa, jest wojna.

Ale Norman to także artysta - czy raczej człowiek, którego kon-



cepcje (np. Bryły życiorysów, czyli portrety generowane za pomocą skomplikowanego algorytmu w oparciu o dane osobowe) wchłoniął świat sztuki. Norman traktuje więc rzeczywistość jak jedną wielką arenę, w obrębie której rozgrywają się akty twórcze o mniejszej lub większej sile rażenia. W takim ujęciu najbardziej skuteczną sztukę tworzą naukowcy, ekonomiści i politycy, a artystami, którzy wywołują jeszcze jako takie emocje mogą być już tylko... dzieci. Na tej płaszczyźnie Sailor jest więc satyrą na świat sztuki, który zaanektował już każdy eksces i stopił się z rzeczywistością tylko w tym sensie, że nie jest w stanie zaproponować jej już nic nowego. To, co miało być najbardziej kontrowersyjne, stało się najbardziej konformistyczne.

Film i powieść Sailor to projekt artystyczny bez precedensu w polskiej sztuce ostatnich lat. Norman Leto nie tylko brawurowo przekroczył terytorium przypisane sztuce wizualnej, ale także splótł materię prozy i filmu fabularnego w integralny „świat przedstawiony”: rozległy, wielopoziomowy pejzaż o konkretnej topografii i symbolice, będący areną działań wyrazistego bohatera. Wykreował - bez przesady - cały twórczy kosmos, na tle którego umieścił przewrotną metaforę naszych czasów.

Pokaz filmu Sailor odbywa się w Galerii Kameralnej, codziennie od poniedziałku do piątku o godzinie 14.00. Wystawa czynna do 15.03.2011.

Jakub Banasiak

Chodzi mi o emocje, dreszcz i motyle w środku

Roman Lewandowski w rozmowie Pawłem Korbusem.

Jesteś performerem, aktorem, scenografem, a jednocześnie zajmujesz się także sztukami wizualnymi. To dość duży rozrzut. Skąd bierze się tak szerokie spektrum w Twojej działalności artystycznej?

Właściwie robię wciąż to samo, bo przecież teatr, performance, sztuki wizualne to tylko różne formy i różne narzędzia. Nie uznaję granic między gatunkami sztuki i nie lubię się ograniczać. Poza tym nie pracuję w teatrze dramatycznym, lecz w miejscu (Teatr Chorea), gdzie zawsze chodziło o łączenie i wiązanie różnych aktywności. Teatr

ta - siłą rzeczy - jest związana z historią przemocy i Ty na tej wystawie także pokazujesz futra zwierzęcego pochodzenia. Nie chodzi tu tylko o przemoc wobec ciała i nie tylko wobec człowieka... Naturą - zarówno florą i fauną - jak zapewne pamiętasz, zajmował się wcześniej Beuys. Czy uważasz, że tego typu sztuka jest dzisiaj ponownie światu potrzebna? I czym są dla Ciebie ekspozowane w baszcie futra?

Historia człowieka to w pewien sposób historia przemocy fizycznej, psychicznej, ekonomicznej. Natura jest też okrutna... a ja nie obrażam się na rzeczywistość. To gdzieś zawsze będzie wpływać i nie zmienimy tego w całości, ale też można zadać sobie pytanie, jak my sami się w tym odnajdujemy, każdy z nas z osobna? Użyłem skór i futer z nutrii jako reprezentacji taniego szyku, odniesienia do przebrzmiałej mody, ale też okropności i obciachu. Opowiadałem o tym różnym ludziom i często krzywili się bądź wzdrygali. Te zwierzęta nie są już groźne, bo są przecież martwe. Można te futra głaskać po sierści jak oswojone koty czy psy. To zresztą dla niektórych jest przyjemne. Skóry są ciepłe na zimę, choć wszyscy wiemy, że zabijanie zwierząt jest okrutne. Ambiwalecja i praca na ludzkich odruchach jest moim tematem... Chciałbym przez to przebić się do świata większej równowagi, gdzie „wszystko” i „nic” jest naraz, gdzie można czuć się swobodnie, nie napiętnować i nie być napiętnowanym.

Czy jest - według Ciebie - jakaś artystyczna receptura i sposób postępowania na zjawiska przemocy i wyklucze-

nia zachodzące we współczesnym świecie?

Może jakieś ogólnosiwiatowe ćwiczenia relaksacyjne albo medytacja... [tutaj śmiech] Może wystarczy częściej uśmiechać się, patrzeć na siebie bardziej życzliwie, słuchać i próbować zrozumieć innego, śmiać się, płakać, jeśli są powody. W teatrze Grotowskiego była taka piękna idea - idea spotkania...

Poza działaniami stricte artystycznymi zajmujesz się także teatrem. Co daje Ci ta działalność i czy możesz ją w jakiś sposób powiązać z tym, co pokazujesz na słupskiej wystawie?

Czasami myślę że jestem artystą ciała. W teatrze mam na co dzień bardzo intensywny trening fizyczny, wzajemnościowy, trening mocnego „bycia” - nie tylko na scenie, ale i poza sceną. Nie chodzi o grę, ale o rodzaj doświadczenia. Uruchomione ciało inaczej wygląda, inaczej myśli, jest w nim jakaś intensywność. Lubię być w akcji, lubię być w pełni, w zdarzeniu sztuki, lubię być w kontakcie. Na wystawie w Baszcie Czarownic też jestem.

Jakie są Twoje najbliższe plany i czy chciałbyś jeszcze kontynuować niektóre z wątków i tematów, jakimi zajęłeś się na swojej wystawie w Słupsku?

„Wszechniewiem, wszech nutria, wszech nic” w Słupsku to dla mnie początek, a droga do NIC jest daleka. Można będzie mnie spotkać w Łodzi, Warszawie, Lublinie, w pracach teatralnych i artystycznych. Mam nadzieję gościć też w Słupsku i Uście, bo to miejsca szczególnie mi przyjazne.

Wystawę „Wszech Nic” można oglądać w Baszcie Czarownic do 13.03.2011.



Zaproszenia

16 marca o godz. 18.00 odbędzie się trzecia część wykładu Romana Lewandowskiego „Media, ciało i władza, czyli dwie dekady polskiej sztuki krytycznej”

18 marca w Bałtyckiej Galerii Sztuki Współczesnej odbędą się wernisaże dwóch artystek. Na godzinę 17.00 zapraszamy do Baszty Czarownic na otwarcie wystawy prac Iwony Zawadzkiej „3 odsłony”. Natomiast o 18.00, w Galerii Kameralnej, odbędzie się wernisaż wystawy Marii Wrońskiej „...mnie..mi...nie?”.



Trzeźwym być i więcej nie

Z Mirosławą Ostapiuk społecznym kuratorem sądowym i zastępczynią Gminnej Komisji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych w gminie Główny, o trudnych sprawach walki z tym powszechnym w Polsce nałogiem, rozmawia Andrzej Obecny.

A.O.: Czym się Pani zajmuje jako kurator sądowy i działaczka Gminnej Komisji w zakresie pracy z osobami uzależnionymi od alkoholu?

M.O.: Jest to, jeśli chodzi o obowiązki kuratora sądowego, przede wszystkim praca w miejscu zamieszkania podopiecznego, robienie wywiadów środowiskowych i prowadzenie rozmów uświadamiających o tym, że można żyć inaczej, że trzeba mieć poczucie odpowiedzialności za rodzinę, szczególnie za dzieci. Jest to również praca z rodziną, która przecież jest również, a może przede wszystkim dotknięta alkoholizmem męża, ojca, syna - rzadziej żony, matki. Jest to również pomoc prawną i informacyjną: jak sobie radzić z alkoholikiem i jak np. skorzystać z pomocy gminy, a szczególnie z działalności opieki społecznej i naszej Gminnej Komisji. Komisja bowiem zajmuje się głównie kierowaniem ludzi dotkniętych chorobą alkoholową na leczenie. Przed podjęciem decyzji o leczeniu, prowadzimy z taką osobą rozmowy, które mają za zadanie nakłonienie alkoholika do podjęcia leczenia. Wspieramy programy profilaktyczne czyli zapobiegawcze i uświadamiające w zakresie zgubnego wpływu nałogu na życie - uzależnionego i jego bliskich.

A.O.: Jak alkoholicy trafiają przed „oblicze” Gminnej Komisji?

M.O.: Najczęściej na wniosek policji, która podjęła interwencję, gdy alkoholik się awanturował, terroryzował rodzinę, używał wobec bliskich przemocy lub jego zachowanie było nie do zniesienia dla sąsiadów. Mogą to być wnioski kuratorów sądowych, którzy nie widząc nadziei poprawy sytuacji chcą spowodować leczenie alkoholika, dotyczy to jednak osób, które weszły w kolizję z prawem. Rzadziej są to wnioski współuzależnionych czyli bliskich, którzy głównie powodowani wstydem lub strachem cierpliwie znoszą tyranie pijaka.

A.O.: Co oznacza termin współuzależnionych?

M.O.: Od pewnego czasu leczeniu nie podlega tylko sam alkoholik, ale również jego rodzina - żona, dzieci. Ludzie, których spo-

tyka tragedia życia z alkoholikiem, nie wiedzą jak w takich sytuacjach postępować, jak się chronić przed osobą chorą, jak obcować z uzależnionym, jak mu i sobie pomóc, jak rozwiązać problem, który jest bardzo trudny i zupełnie, w co trudno uwierzyć, nie zależy od woli uzależnionego, bo alkoholik tej woli jest pozbawiony. Często bywa tak, że zachowanie bliskich wręcz pogłębia alkoholizm uzależnionego - usprawiedliwia lub chroni go przed skutkami nałogu, które przeżywa na siebie rodzina. Pijak jest „kryty” przed otoczeniem, żona, dzieci wstydzą się męża, taty - pijaczyny ukrywają swoją gehennę przed sąsiadami, znajomymi, dalszą rodziną. Sprzyja również temu, niestety, nasze prawo, które w nie dość stanowczy sposób chroni rodziny pijaków-awanturników, a ich samych traktuje, delikatnie mówiąc, pobłażliwie. Zgoda na leczenie w specjalnych ośrodkach, u nas w Lubczewie, jest dobrą wolą alkoholika. Również nie ma prawa, które w skuteczny sposób separuje alkoholika od umęczonej rodziny.

A.O.: Jakie są rezultaty pracy. Ilu alkoholików zrywa z nałogiem?

M.O.: Po pierwsze trzeba mieć świadomość, że jest to praca z pewnym kręgiem tych samych osób. Sporadycznie pojawia się „nowy” alkoholik. W skali gminy jest to powiedzmy około 50. osób. Ludzie przestają pić na jakiś czas, później wracają do nałogu i jest to taka syzyfowa praca, ale problem również jest syzyfowy, gdyż ludzie do nałogu wracają po miesiącu, roku, kilku latach, a znam przypadki, że i po siedemnastu latach. Gdy alkoholik pozostaje w trzeźwości przez dłuższy okres traci czujność, myśli, że jeden kieliszek niczego nie spowoduje. A czasem, przypadek autentyczny, wystarczy jedna lampka szampana wypita w USC, aby wrócić do nałogu. Niestety alkoholikiem pozostaje się do końca życia, tylko można być trzeźwym alkoholikiem i jest to ogromny sukces takiego człowieka. My zwykli ludzie nie zdajemy sobie sprawy, jaki to ogromny sukces.

W mojej wieloletniej pracy, mogę w naszej gminie wskazać



tylko kilka osób, które w tzw. stanie trzeźwości pozostają przez wiele lat. Życzę im aby w tym wytrwali.

A.O.: W jakich przypadkach alkoholicy się opamiętują?

M.O.: Najlepsze są przykłady: Rodzina wielodzietna. Ojciec rodziny pije, awanturuje się, rodzina popada w biedę, alkoholik zostaje pozbawiony pracy, żona nie daje sobie rady, bieda się powiększa. Wkracza Sąd Rodzinny, który daje alternatywę albo pan podejmuje leczenie albo dzieci zabieramy do placówki opiekuńczej. Pan podjął leczenie, które spełniło oczekiwania. Od tego czasu minęło kilka lat, pan wrócił do trzeźwych, podjął pracę. On i rodzina wyszli na prostą.

Albo inny przykład. Pan, którego znam od dziecka właściwie zawsze, odkąd moja pamięć sięga pił. Ostatnio, coraz częściej doprowadzał się do stanu nie liczącym z człowieczeństwem. Ku naszemu zaskoczeniu, gdyż zawsze był krnąbrny, przyjął propozycję leczenia. Po powrocie z Lubczewa mówił do mnie z pretensją: Gdybym wcześniej wiedział co ja robię dawno bym nie pił.

My czasem nie zdajemy sobie sprawy ile wysiłku kosztuje zerwanie z nałogiem. Opowiadał mi znajomy z naszej gminy, zresztą wszyscy oni są moimi znajomymi, jaką walkę toczył ze sobą będąc w ośrodku w Lubczewie. Pani Mirko - mówił. Ja tam miałem swobodę, mogłem wychodzić np. do sklepu, miałem ze sobą pieniądze. Kilka razy wychodziłem za bramę, ścisnąłem te przekłete pieniądze i płakałem aby nie pójść po alkohol. Wytrzymałem pani Mirko. To i teraz po leczeniu wytrwam. Rzeczywiście wytrwał. Nie pije od kilku lat.

Czasem do nas zwracają się sami alkoholicy. Szczególnie ci, którzy nie pili przez jakiś czas i wrócili do nałogu. Pewnego razu zgłosił się do nas człowiek, który prosił o skierowanie go na leczenie. Mówił, że powrócił do nałogu i w tej chwili jest na etapie wyprzedawania dobytku by mieć na alkohol. Wtedy właściwie bez zbędnych ceregieli w trybie niemal natychmiastowym skierowaliśmy go na leczenie. Pan od tamtego czasu, czyli od trzech lat, nie pije.

Takie przykłady budują. I gdybym miała świadomość, że moja praca uchroni przed dalszym na-

Gawędy starego psychologa

Alkohol

Zasadniczo, to alkohol pity z umiarem nie szkodzi nawet w dużych ilościach (Ferdynand Kiepski)

Trudno o bardziej niewdzięczny temat. Na temat alkoholizmu napisano już tyle, że nie wymyślę niczego odkrywczego. Podzielię się zatem z państwem kilkoma osobistymi refleksjami wypływającymi zarówno z mojej praktyki zawodowej, jak i doświadczenia życiowego.

Działalność rozmaitych instytucji powołanych do zwalczania tego „problemu społecznego”, często mnie zdumiewała i złościła. Prowadzący je urzędnicy wyrządzili więcej szkód niż przynieśli pożytku. W dodatku mają do dyspozycji wielkie pieniądze z tzw. kapsłowego. Zdarzyły mi się widzieć, na co są przeznaczone te pieniądze i cieszyłem się, że nie mam już włosów. Nie stawiały mi dęba i nie bardzo było co wyrwać. Wygłaszane w mediach tyrady speców, świadczyły, że ci jakoby bardzo kompetentni ludzie nie mieli pojęcia z czym się mierzą. Zapewne co bardziej inteligentni alkoholicy słuchając ich zaśmiewali się do rozpuku. Bo to prawda, alkohol piją nie tylko ludzie prości i niewykształceni, dla których jest to sposób spędzania czasu po bezsensownej pracy, ale również ludzie inteligentni i o dużej samoświadomości. Dlaczego piją, to już temat do osobnych rozważań. Sam piję często, chociaż unikam upijania się. A moi najbliżsi twierdzą, że alkohol, to najmniejszy z moich problemów. Dopóki zdrowie pozwoli, nie mam zamiaru dołączyć do tych wrednych abstynentów. Moje doświadczenie życiowe potwierdza, że spędzanie czasu wśród przyjaciół, przy kufli piwa jest okazją nie tylko do miłego spędzenia czasu, ale także do wymiany interesujących myśli. Czasem usłyszę ciekawe rzeczy wypowiedziane zbyt głośno przy sąsiednim stoliku. A słuchając akademickich wykładów, czasami można się zanużyć (bywają wykłady fascynujące).

Nie zaprzeczam, alkoholizm to dla wielu ludzi poważny problem. Miałem i mam znajomych, który alkohol zniszczył życie. Wielu z nich wpędził w poważne kłopoty. Wielu z nich skrócił życie. Rozumiem tych, którzy patrzą bez-

logiem choćby jednego uzależnionego, to ma ona sens.

Oczywiście są i tacy, którzy nie piją przez rok i wracają do nałogu, leczą się nie piją i z powrotem nadużywają alkoholu i tak cyklicznie. Ważne jednak jest to, że chociaż przez dłuższy lub krótszy okres pozostają w trzeźwości. Kiedyś nadejdzie czas, że do nałogu nie powrócą.

Wielu po leczeniu nie pojawia się w zainteresowaniu Gminnej Komisji, to prawdopodobnie jest również sukces przestania nadużywania alkoholu.

A.O.: Mówiła Pani o wielkim problemie rodzin alkoholika, używała Pani nawet takich słów jak gehenna, tyrania. Proszę o jakieś przykłady.

M.O.: Proszę bardzo. Jednak najpierw powiem, że żony alkoholików powinny skupiać się nie na alkoholizmie męża, a nad spo-

sożami leczenia męża czyli wprowadzenia go z nałogu. I to staramy się im uświadomić. Jednak nie zawsze nasze rady odnoszą skutek. Bo życie ma swoje prawa. Jedną z pań, gdy namawiałam ją do nie zajmowania się pijanym mężem w sensie sprzątnięcia po nim, prania mu rzeczy, utrzymywania go itp. tak mi powiedziała, przerywając swój wywód spazmatycznym płaczem. Pani Mirko, a co ja mam zrobić jak on załatwia wszystkie swoje potrzeby fizjologiczne na środku pokoju, jak przychodzi zeschwany, zaspany i śmierzdy. Mieszkamy wszyscy w jednym pokoju. Są dzieci, jestem ja. Kto tego nie przeżył niech nie mówi. Dlatego sprzątam, zmywam, piorę, a on nawet o tym nie wie. Co mam zrobić? Do kogo pójść? Jak go wyeksmitować?

Jest to problem. Wiele kobiet jest niezadowolonych. Wiele czuje się



on pije, ale jego szanuje za to co w życiu zrobił. A ty nie zrobiłaś jeszcze nic. I ciebie nie szanuje”. Bo ci wielcy, chociaż alkoholicy, następnego dnia borykali się z życiem, a czasami trzeba to robić na trzeźwo. Mieli swoje cele, dążenia i stanowią dla mnie wzorce pod innymi względami.

Niestety, w życiu nie jest tak proste. Do kobiety można powiedzieć - widziałyśmy co brały. Prowadzę niekiedy sprawy, gdzie kobieta wchodzi w kolejne nieudane związki, za każdym razem wybierając alkoholika. Znam parę psychologicznych wyjaśnień takich zachowań, ale nie o to chodzi. Uważam, że dorosła kobieta powinna umieć zmierzyć się z problemem. Ma zresztą wsparcie w rozmaitych instytucjach. Niestety gorzej jest z dziećmi. Dziecko nie ma wyboru. Początkowo dziecko nie ma innych wzorców identyfikacyjnych niż rodzice. Rodzic ma dla niego moc niemal boską. I kiedy taki ideał zachowuje się idiotycznie (jak to po wódzie), dziecko początkowo nie rozumie co się dzieje. A potem, kiedy często się to powtarza, zaczyna się wstydzić. A każde dziecko chce być dumne z ojca i matki. I ma problem.

Żyjąc na trzeźwo można oszaleć. Niektórzy, aby nie oszaleć biorą psychotrop. Mój profesor od psychiatrii mawiał uczennie, że alkohol „rozmiękcza objawy psychotyczne”. Ale zaraz wytłumaczył po ludzku, że jak ktoś wypije, to potrafi zachować się lepiej, niż kiedy działa jego choroba, albo kiedy faszkuje się go lekami. Profesor zaznaczył, że rozmawia z nami szczerze, ale publicznie nie zamierza głosić takich poglądów. Zawsze istnieli mądrale, którzy twierdzili, że tylko trzeźwy umysł jest jedynym prawidłowym stanem człowieka. I im ten artykuł dedykuję.

Władysław Hałasiewicz
psycholog

swoją beznadziejność, bycie w zakłętym kręgu. Powinny moim zdaniem być bardziej skuteczne formy działania na wielu płaszczyznach, aby móc chronić rodziny alkoholików przed nimi, ale i ich samych - alkoholików przed nimi, przed ich nałogiem.

A.O.: Dziękuję za rozmowę.



Zdaniem młodych

Kij i marchewka

Od 1 stycznia 2011 roku studenci znowu, jak przed reformą rządu Sojuszu Lewicy Demokratycznej, mogą podróżować koleją z 50% zniżką. Pomimo że ukończyłem studia w zeszłym roku i nie dotyczy mnie nowa większa ulga, cieszyłem się z poprawy losu polskich studentów. Nie należy jednak dziękować ekipie rządzącej, która przyjęła nowelizację ustawy. Na uznanie i wdzięczność zasługują wszyscy ci, którzy przez kilka lat zbierali podpisy pod petycjami, pod projektem nowelizacji ustawy oraz tym którzy je podpisywali. Cieszy mnie, że Młodzi Socjaliści mają swój wkład w dążeniu do tańszych biletów poprzez zbieranie podpisów czy rozdawanie ulotek. Nie Komorowski i nie Tusk są więc bohaterami. Batalię o tańsze bilety wygrały osoby, które walczyły o nie od lat. Nie jest ważne, że nasz głos był mało słyszalny. Politycy mają to do siebie, że bardzo rzadko stosują patyczki do czyszczenia uszu.

Mimo trudności w przekazie cel został osiągnięty. Nie chciałbym popadać w samozachwyty ani sprawiać wrażenia przesadnie rozentuzjasmowanego. Czas euforii minął, kiedy polscy studenci dowiedzieli się o tym, że będą musieli zapłacić za drugi kierunek studiów. Opłaty nie będą dotkliwe dla studentów z bogatych rodzin. Ich stać i na studia i na trzecim i na czwartym kierunku. Masz kasę - studiujesz, nie masz kasy - nie studiujesz. Proste! Platforma Obywatelska idzie dalej ścieżką komercjalizacji studiów nazywając to dążeniem do poprawy ich jakości.

Nikt, kto w jakimkolwiek stopniu śledził bieżące wydarzenia, nie był zaskoczony informacją o odpłatnym drugim kierunku. Co na to studenci? Na razie

nic, bo oprócz negatywnych opinii (często niecenzuralnych) na portalach społecznościowych i pogroźkach, że w przyszłych wyborach już nie dadzą się omać i nie zgłoszą na PO - żadnej istotnej mobilizacji nie widać. Wszak Polska nie jest Francją, Grecją ani Hiszpanią, gdzie studenci nie dają sobie w kaszę dmuchać. Rządzący z tych krajów mogą pozazdrościć polskim politykom, którzy nie są zmuszani do brania pod uwagę reakcji społecznych. Koktajli Mołotowa nie będzie, palących się opon też. Tak samo jak nie było reakcji, kiedy Młodzi Socjaliści z Torunia nawoływali do protestu ze względu na kolejne podwyżki czynszów za akademiki w 2009 roku. Mimo licznych ogłoszeń we wszystkich akademikach, mimo 1300 podpisów pod petycją do władz Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, mimo dużego wkładu toruńskiego okręgu MS - na spotkania w akademikach przychodziło co najwyżej kilkanaście osób. Może mieszkańcy akademików zgodzili się wtedy z opinią Samorządu Studenckiego UMK, że przecież podwyżka za akademik to tylko 5 piw miesięcznie mniej?

Polska rzeczywistość jak zawsze zadziwia swoimi paradoksami. Zaledwie pół roku temu kilka tysięcy studentów potrafiło się zmobilizować, aby przysiąc na protest „antykrzyżowy” przed pałac prezydencki. Dlaczego więc nie możemy się sprzeciwić w związku z istotniejszymi dla nas sprawami dotyczącymi nie tylko naszej kieszeni, ale i poziomu edukacji w Polsce? Czy mobilizacja „antykrzyżowa” była bardziej trendy niż mobilizacja przeciwko niekorzystnym reformom minister Barbary Kudryckiej?

Paradoksy widać nie tylko w odniesieniu do Platformy Obywatelskiej. Znam



osoby, które mimo, że pobierają stypendia socjalne, są wielkimi fanami Janusza Korwina-Mikkego i jego programu. Z czego to wynika? Z nieświadomości, buntu czy z braku alternatywy? Alternatywy nie będzie do czasu, aż PO nie zdejmie maski a wyborcy nie ujrzą jej prawdziwej twarzy. Jeżeli nie uaktywnią się środowiska prospołeczne, lewicowe - scena polityczna będzie zdominowana przez prawicę i pseudolewicę. Dopóki debata publiczna będzie skupiona na katastrofie smoleńskiej a nie na sprawach istotnych dla społeczeństwa takich jak: prywatyzacja przedsiębiorstw państwowych, opieka zdrowotna, emerytury, przedszkola, polityka mieszkaniowa, umowy śmieciowe - dopóty Platforma Obywatelska będzie miała komfortową sytuację, podobną do tej obecnej.

W tej chwili widzimy dopiero zalążki dyskusji o tych sprawach. Nie ma natomiast realnego dążenia PO do rozwiązania tych czy innych problemów. Politycy Platformy Obywatelskiej dalej skupiają się na jałowych sporach z politykami Prawa i Sprawiedliwości. Nie ważne kto zwycięży w tym sporze, bo od tego nie będzie ŻYŁO SIĘ LEPIEJ. A już na pewno nie WSZYSTKIM.

Aleksander Gavlus
(Młodzi Socjaliści)

Wstąp do nas - kontakt redakcja



za studia ciężko się utrzymać, ten dodatkowy koszt może być barierą nie do przekroczenia. Barierą, która skazuje go na brak wykształcenia, gorszą pracę, niższe zarobki - w imię „sprawiedliwości”.

Takie pojmowanie sprawiedliwości i tego, kto powinien mieć dostęp do edukacji, to tylko interpretacja zapisów ustawy. Są jednak takie zapisy, które interpretuje się inaczej. Według Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, jak i zwolenników reformy, będą motywowały studentów do wyteźonego wysiłku, aby otrzymać określone korzyści.

Ten zapis w projekcie zmian w ustawie to głównie wprowadzenie limitu 10% studentów, którzy zwolnieni będą z opłat za drugi kierunek. W ustawie są jeszcze inne, „procentowe” zapisy. W tym miejscu pojawiają się pytania: skąd akurat ta liczba? I ważniejsze: dlaczego zwolnienie ma dotyczyć określonego procenta, a nie tych, którzy osiągną określony próg wyników w nauce? Dlaczego nie ma zależeć tylko od samych studentów, ale też od tego, jakie wyniki osiągną ich koledzy? To proste - przecież zasada, która powinna dotyczyć każdej dziedziny, jest według rządzących zasada konkurencji. Nie liczy się osobisty rozwój i osiągnięcia. Liczy się wypierzenie innych. Pojawia się kolejne pytanie: czy konieczność rywalizacji (i stres związany z ryzykiem poniesienia opłat) pomogą studentom się rozwijać?

Oczywiście nie - ale nie o to przecież chodzi. Chodzi o produkcję pracowników, którzy będą potrafili znieść warunki ostrej rywalizacji, na rynku pracy czy później

w konkretnej korporacji. Ludzi, którzy nie będą potrafili się zjednoczyć w obronę swych interesów - bo system edukacji nauczył ich, że ich interes jest sprzeczny z interesem innych. Ludzi, którzy będą popierali niekorzystne dla ogółu zmiany, licząc że znajdują się wśród 10% procent wybrańców.

Stara zasada władzy mówi: dziel i rządź. Podzielone społeczeństwo nie stanowi zagrożenia. A jeśli przy okazji można rzucić mu ochlapy, jak 10% zwolnień z opłat za drugi kierunek - to tym lepsze będzie widowisko, gdy ludzie będą się o nie zgrzyzać.

Nasz, studencki interes, jest jeden. Teraz leży w nim odrzucenie planów ministra Kudryckiej. Jeśli jest na to jakaś szansa - to tylko wtedy, gdy razem się im sprzeciwimy, a nie będziemy liczyć na łaskę rządzących.

Jan Świeczkowski
(Młodzi Socjaliści)

Wstąp do nas - kontakt redakcja

Zasady gry w turniejach szachowych

Na pewnym etapie nauki każdy szachista pragnie sprawdzić swoje umiejętności w rywalizacji z innymi graczami. Jednym z najczęstszych pytań, jakie otrzymuję w wiadomościach e-mail, są prośby o wyjaśnienie zasad jakimi kierują się turnieje szachowe. Bardzo często pytania dotyczą systemu rozgrywek, zasad klasyfikacji, sposobu rozgrywania partii, kojarzenia przeciwników, szczegółowych przepisów gry w szachy. Jako sędzia szachowy czuję się zobligowany do udzielania wyczerpujących odpowiedzi, tym bardziej, że zależy mi na jak największej frekwencji na organizowanych przeze mnie imprezach. Wiadomo, że czym więcej chętnych do gry, tym rozgrywki są ciekawsze.

Zaskoczony byłem, gdy otrzymałem maila od sympatyka królewskiej gry, który od dawna śledzi wydarzenia na słupskiej scenie szachowej, ale z bliżej nieokreślonego powodu obawia się zadebiutować w oficjalnym turnieju szachowym. Jak wynikało z treści prowadzonej przez nas korespondencji, największy postrach budzą przepisy zamieszczone w Kodeksie Szachowym opublikowanym na stronach Polskiego Związku Szachowego, dotyczące systemu rozgrywek oraz techniki kojarzenia. Moje zdziwienie było tym większe, gdyż wspomniane wytyczne skierowane są do sędziów oraz organizatorów turniejów i nie wpływają praktycznie na przebieg gry zawodników. Niestety, wiele osób próbuje samodzielnie zgłębić wiedzę dostępną w Kodeksie, co może skutkować podobnymi dyalematami. Chciałbym, na łamach tego artykułu, rozjaśnić problem i tym samym zachęcić do startu w zawodach. Postaram się użyć języka zrozumiałego i uniknąć terminów specjalistycznych.

Pierwszą, zasadniczą i najważniejszą sprawą, jest znajomość przepisów rozgrywania partii. Każdy zawodnik przystępujący do gry powinien znać zasady poruszania się bierki szachowych (ruchy pionków oraz figur) oraz sposoby zakończenia partii (mat, pat, remis). Bardzo dobrze jeżeli posługuje się zegarem szachowym lub przynajmniej zna zasady jego działania. Nie ma się jednak co martwić, gdy pierwszy kontakt z zegarem będzie na turnieju, gdyż oprowadzenie jego obsługi trwa mniej niż 30 sekund.

Kolejną rzeczą jaką zawodnik powinien znać są przepisy gry w turniejach zamieszczone w Kodeksie Szachowym. Temat jest bardzo obszerny, jednak wychodzę z założenia, że w celu uniknięcia konfliktów początkujący gracze powinni stosować się jedynie do kilku następujących zasad: dotknięta bierka musi wykonać posunięcie, a gdy ją postawimy nie możemy zmienić miejsca jej położenia; jeżeli dotknijemy bierkę przeciwnika to musimy ją zbliżyć; w celu wykonania rozstrzygnięcia przedstawiamy najpierw króla, a następnie wykonujemy ruch wieży; poprawić położenie figur na szachownicy możemy jedynie wtedy, gdy upływa nasz czas i zakomunikowaliśmy przeciwnikowi chęć poprawienia bierki; podczas jednej par-

tii możemy pomylić się dwa razy, trzecie nieprawidłowe posunięcie przegrywa partię; partia rozgrywana jest pomiędzy dwoma graczami, nie należy więc podpowiadać lub w inny sposób ingerować w przebieg innego pojedynku; we wszystkich konfliktowych sytuacjach zatrzymujemy dźwięk zegara i wzywamy sędziego zawodów. Jest rzeczą oczywistą, że obowiązują zasady fair play oraz kultura osobista. Za naganne zachowanie, przeszkadzanie innym graczom, niestosowanie się do zasad gry oraz lekceważenie uwag sędziego grozi upomnienie, odejście punktów lub usunięcie z zawodów.

Po rozegranej partii gracze powinni ustawić bierki na szachownicy oraz zgłosić wynik sędziemu. Za zwycięstwo przyznawany jest jeden punkt, za remis pół punktu, a porażka nie zmienia stanu punktowego zawodnika. Turniej wygrywa osoba z największą liczbą punktów uzyskanych w turnieju.

Zawodnicy w turniejach kojarzeni są ze sobą najczęściej za pomocą jednego z dwóch systemów: systemu kołowego lub szwajcarskiego.



System kołowy, zwany także systemem „każdy z każdym”, rozgrywany jest przy udziale małej ilości graczy. Polega na tym, że każdy z zawodników rozgrywa określoną ilość partii z każdym z pozostałych przeciwników. Najczęściej można spotkać turnieje jednokółowe, w których rozgrywana jest jedna partia z każdym z oponentów, lub turnieje dwukółowe, gdzie rozgrywane są po dwie partie.

Bardziej skomplikowana jest sytuacja w turniejach rozgrywanych systemem szwajcarskim. Tu algorytm jest dosyć zagmatwany i jedynie sędzia zawodów zobowiązany jest do jego znajomości. Gracze turniejowi nie są zobligowani do jego zrozumienia i wystarczy, że będą korzystać ze wskazówek osoby prowadzącej turniej. W celu sprawnego przeprowadzenia turnieju organizatorzy bardzo często korzystają z pomocy komputera, który co rundę samodzielnie dobiera przeciwników opierając się



na ściśle określonych wzorach. Najczęściej rozgrywa się 7, 9 lub 11 rund. Każda runda to jedna partia. Ilość rozegranych w turnieju „szwajcarskim” partii nie zależy więc od ilości zawodników, a od ustalonej z góry liczby rund.

Turnieje szachowe rozgrywane są przeróżnym tempem. Tak zwane turnieje błyskawiczne pozwalają rozgrywać partie nie dłuższe niż 10 minut, turnieje szachów szybkich to tempo pomiędzy 15 a 30 minut na partię dla zawodnika, tempo klasyczne jest dłuższe i pozwala na długie przemyślenia przy stoliku szachowym. Najdłuż-



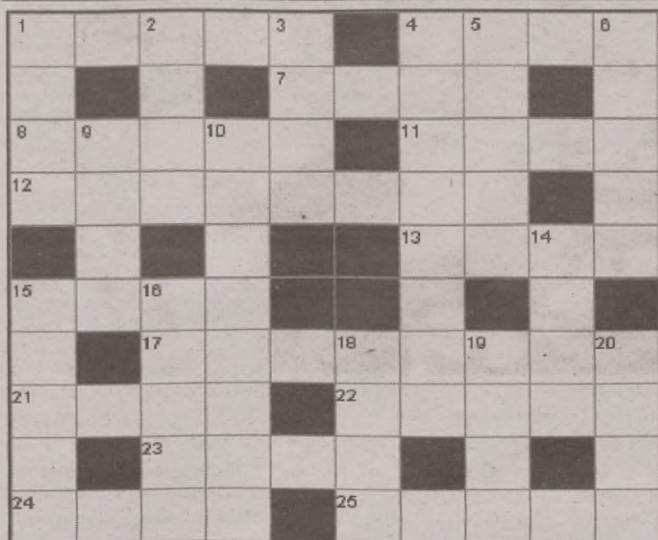
sza partia, jaką grałem w życiu, trwała prawie 6 godzin i... przegrałem poprzez przekroczenie dopuszczalnego czasu do namysłu. Każdy sympatyk królewskiej gry znajdzie więc dogodne dla siebie tempo gry, które odpowiada jego stylowi oraz możliwościom.

Słupska Akademia Szachowa organizuje wiele turniejów dla mieszkańców Słupska oraz okolicznych miejscowości. Zapraszam wszystkich zdecydowanych do spróbowania swoich sił i walki o nagrody rzeczowe. Gra w turniejach naprawdę nie jest skomplikowana, a wszystkie niejasności mogę wyjaśnić przed turniejem lub w trakcie jego trwania. Zapewniam również, że wiele osób które raz spróbowało swoich sił w zawodach, stało się ich stałymi bywalcami, a przedstartowy stres minął u nich po pierwszych wykonanych posunięciach.

Michał Narkun



KRZYŻÓWKA NR 5 - SYNTeza



Z przedstawionych poniżej wyrazów należy ułożyć krzyżówkę.
4 literowe: ACAN, APAP, ASAG, BUKH, CYKL, ERNO, FIAT, IERA, LORI, NIFE, PLAN, RAFA, RURA, RZEP, SPAD, WKRA.
5 literowe: APRAK, CHATA, DIETA, FARAB, KLAPA, OŁAWA, PNIAC, RZEPA.

8 literowe: LOGOPEDA, POSTRACH, PRZECIER, SANDWICZ.
 Rozwiązanie krzyżówki nr 5 prosimy przesłać do dnia 19 marca 2011 roku listownie (decyduje data stempla pocztowego) na adres redakcji 76-200 Słupsk ul. Wierzbowa 4. lub e-mailem na adres redakcja@mojemiesto.slupsk.pl Wśród autorów poprawnie rozwiązanych krzyżówek rozlosujemy nagrodę książkową.

Nagrodę za poprawnie rozwiązana krzyżówkę nr 3 z nr 3. gazety wylosował: pan **Zygmunt Cieślak** ze Słupska. Nagrodę przesłaliśmy pocztą.

SUDOKU nr 5

	7	1		3		6	8	
					7			2
	2	6		1	9		3	
		2						7
7			6	2	4			8
4		8		7		3	2	
	3		1		8	9	5	6
6		5	7					
	1			5		8		

Wypełniamy planszę w taki sposób, aby w każdym wierszu i w każdej kolumnie oraz w każdym kwadracie 3x3 znalazły się cyfry od 1 do 9 przy czym cyfry te nie mogą się powtarzać w żadnym wierszu, kolumnie i zaznaczonym kwadracie 3x3.

Rozwiązanie łamigłówki Sudoku nr 5 prosimy przesłać do dnia 19 marca 2011 roku listownie (decyduje data stempla pocztowego) na adres redakcji 76-200 Słupsk ul. Wierzbowa 4. lub e-mailem na adres redakcja@mojemiesto.slupsk.pl Wśród autorów poprawnie rozwiązanych łamigłówek rozlosujemy jeden dwuosobowy bilet na koncert Polskiej Filharmonii Sinfonia Baltica w Słupsku.

Nagrodę za poprawnie rozwiązana łamigłówkę Sudoku nr 3 z nr 3 gazety wylosowała: pani **Joanna Ryndo** ze Słupska. Nagrodę można odebrać w kasie filharmonii na ulicy Jana Pawła II w Słupsku.

HOROSKOP

wrózka Rafała



BARAN
21.III - 20.IV

Nie zwlekaj zbyt długo z realizacją spraw ze stycznia. Lepiej wziąć się w garść i szybko wypełnić wszystkie obowiązki, aby mieć czas na karnawałowe szaleństwa. Masz szansę w najbliższych dniach na poznanie kogoś interesującego. Zadbaj w końcu o cerę.



BYK
21.IV - 20.V

W pracy czas upłynie miarowo i bez większych afer. Intensywniej zapowiada się w sferze towarzyskiej. Uważaj jednak, by nie przesadzić z narzekaniem. Błache problemy z łatwością rozwiążesz sam. Jeśli dobrze się zorganizujesz, to miło spędzisz czas na siłowni lub basenie.



BLIŹNIĘTA
21.V - 21.VI

Warto było więcej popracować w ostatnim czasie, ponieważ szef dostrzegł Twoje zaangażowanie. W tym tygodniu będziesz tryskać dobrym humorem. Warto wybrać się na zakupy, bo nic tak nie poprawia samopoczucia jak lżejszy portfel. Niestety, nad zdrowiem mogą zawisnąć czarne chmury.



RAK
22.VI - 22.VII

Doceń to, co masz i ciesz się, a koledzy w pracy zauważą Twoją zmianę nastawienia. Mały zastrzyk gotówki poprawi Ci humor, z którym ostatnio nie było u Ciebie najlepiej. Zaprosz przyjaciół na „jednego” i porozmawiajcie o przyjemnościach życia, a w weekend rozruszaj kości na boisku.



LEW
23.VII - 22.VIII

Czas zrzucić z siebie etykietkę pracochlika. Bliskie osoby chętnie Ci w tym pomogą. Zwolnij obroty, a później z przyjemnością powrócisz do obowiązków. Intuicja dobrze Ci podpowiada, że nie warto ufać każdemu. Zwróć uwagę na dietę, wystarczy zmienić kilka drobnych przyzwyczajeń, aby zyskać nową figurę.



PANNA
23.VIII - 22.IX

Przed Tobą pracowity okres, będziesz tęsknić za chwilą wytchnienia. Na szczęście nie potrwa to długo. Zapisz się na taniec, który doda Ci wigoru i wyrzeźbi sylwetkę. Ktoś z przyjaciół ma problem, w którym będzie mógł na Ciebie liczyć. Na pewno się za to odwdzięczy. Choć zdrowie Ci dopisuje, warto regularnie przeprowadzać badania.



WAGA
23.IX - 22.X

To idealny czas na zmianę pracy. Rutyna zabija kreatywność, więc nie obawiaj się i śmiało zamknij pewien etap zawodowy. Nie będziesz żałować podjętych decyzji. Będziesz nieco roztargniony, ale uda Ci się zrealizować pewne marzenie. Masz w sobie mnóstwo uroku, który dostrzeże pieć przeciwna. W weekend przyda Ci się spokój.



SKORPION
23.X - 21.XI

Dylemat między pracą a spędzeniem czasu z drugą połówką rozstrzygniesz na korzyść ukochanej osoby, która ostatnio potrzebuje Twojego wsparcia. Nie inwestuj ostatnich oszczędności w wątpliwy interes. Brak gotówki jest tylko chwilowy. W tym tygodniu dopadnie Cię osłabienie. Weź się poważnie za swoje dolegliwości.



STRZELEC
22.XI - 21.XII

Daj odpocząć swojemu partnerowi. On też ma swoje życie i potrzebuje chwili samotności. Ty zajmij się swoją pracą, którą ostatnio zaniedbałeś z powodu lenistwa. Warto zmobilizować się, aby szef docenił Twój potencjał. Nie bój się nowych wyzwań. To dla Ciebie idealna szansa, by zabłysnąć. Bóle stawów to znak, że potrzebujesz więcej ruchu.



KOZIOROŻEC
22.XII - 19.I

Chandra, która Cię ostatnio męczyła zniknie na dniach. Spowoduje to pewna niedawno poznana osoba. Staniecie się nierozłączni, a Ty będziesz emanować pozytywną energią. Nie każdy ma ostatnio tyle szczęścia, co Ty. Przekuj je na sukcesy zawodowe, a premię masz zagwarantowaną. Nie lekceważ problemów z kręgosłupem.



WODNIK
20.I - 18.II

Nadchodzący tydzień powitasz natłokiem zobowiązań zawodowych. Ustal priorytety, a wszystko potoczy się po Twojej myśli. Wybierz się na weekend za miasto, tam odnajdziesz spokój. Pobyt w innym miejscu pozwoli Ci z dystansem spojrzeć na problemy. Pamiętaj, że życie nie polega tylko na przyjemnościach.



RYBY
19.II - 20.III

Twoje poświęcenie drugiej osobie nie zawsze jest przez nią zauważone. Przyda się Wam szczerza rozmowa. Zmęczenie natłokiem obowiązków spowoduje pogorszenie stanu zdrowia. Bieganie z psem po parku to dobry sposób na rozładowanie napięcia. Możesz też wybrać się na masaż.

Humor – Fachowcy

Stary hydraulik bierze praktykanta na robotę.
 U gościa wybiło szambo, hydraulik nurkuje w tym szambie.

Po 2 minutach wypływa i mówi do praktykanta:

- Podaj klucz płaski 5!

Po czym znowu nurkuje na kolejne 2 min.

Wypływa i mówi:

- Podaj klucz płaski 3!

Znowu nurkuje. W pewnym momencie zabulgotało, całe szambo spłynęło z powrotem, hydraulik wyszedł z rowu cały uwalony w gównie i mówi do praktykanta:

- No a ty się ucz, bo całe życie będziesz podawał klucze.

Pewnego dnia przychodzi mąż z pracy, a kran w domu cieknie. Żona pyta:

- Może byś naprawił kran?

Mąż mówi:

- A co ja, hydraulik?

Na drugi dzień żona znowu pyta:

- Może byś skopał ogródek?

- A co ja, ogrodnik?

Na trzeci dzień mąż przychodzi, a kra-



Rubrykę redaguje Sonia Tybora

ny nie ciekną i ogródek jest skopany.

Mąż pyta żony:

- Kto wszystko zrobił?

A żona:

- Sąsiad powiedział, że zrobi to wszystko za Ciebie, jeśli upiekę mu jakieś pyszne ciasto, albo się z nim prześpię.

- No i co mu upiekas?

A żona:

- A co ja, cukiernik?

Student z biednego afrykańskiego państwa przychodzi do hydraulika:

- Proszę pan. Sedes mi źle pracować.

Woda szybko lecieć i nie zdążyć się umyć.

„Babska impreza” w Spichlerzu

„Babska impreza” w Spichlerzu to propozycja uczczenia Święta Kobiet w formie odmiennej od powszechnie praktykowanych. Rzecz odbędzie się w gościńcu „Młyn Słupski” na wyspie Młyńskiej w dniu 6 marca, o godzinie 16.30 i 19.30.

Organizatorzy w ramach wydarzenia proponują, rewelacyjny monodram „Shirley Valentine” w wykonaniu Izabeli Noszczyk, aktorki Teatru im. Jaracza w Łodzi, a bezpośrednio po nim spotkanie w sali biesiadnej przy „szwedzkim stole”, gdzie obecne na imprezie Panie, będą mogły podzielić się wrażeniami po spektaklu.

Na godzinę 16.30 bilety zostały już wyprzedane, natomiast na 19.30 są do nabycia w Centrum Informacji Turystycznej „Ziemia Słupska” w Słupsku, przy ul. Starzyńskiego 8, tel. 59 842 43 26 i 59 842 07 91. Szczegóły dotyczące imprezy znajdziecie Państwo na stronach internetowych organizatora, firmy „Progres” ze Słupska: www.agart.slupsk.pl



Nie zwlekaj! Już dziś zaplanuj swoją reklamę

w dwutygodniku MOJE MIASTO

to pewny sposób
na dotarcie
do odbiorców
Twojej oferty

Oto najprostszy cennik reklam:

Jednostką reklamową jest jeden moduł

Posiadający wymiary: szer. 42 mm i wys. 29 mm

strona liczy 60 modułów: 6 kolumn i 10 wierszy

Cena 1 modułu wynosi: 29 zł. 28 gr. (z VAT)

Szczegóły reklamy prosimy uzgadniać

Pod telefonem 609 781 705

lub e-mail reklama@mojemiesto.slupsk.pl

MOJE MIASTO

Moje Miasto bezpłatny dwutygodnik

Wydawca:

Agencja reklamowo-wydawnicza Moje Miasto

Adres wydawcy i redakcji:

76-200 Słupsk, ul. Wierzbowa 4

Kontakt tylko przez:

Tel. kom.: 609 781 705

e-mail: reklama@mojemiesto.slupsk.pl

reklama@mojemiesto.slupsk.pl

www: mojemiesto.slupsk.pl

Redaguje gazetę: zespół

Redaktor naczelny: Andrzej Obecny

e-mail: obecny@poczta.onet.pl

Druk:

Drukarnia POLSKAPRESSE sp. z o.o. w Gdańsku

Nakład: 5000 - 10000 egz.

Znak graficzny, nazwa i wszelkie prawa zastrzeżone.

Wydawca i redakcja nie ponoszą odpowiedzialności za treść reklam, ogłoszeń, tekstów sponsorowanych oraz listów i opinii Czytelników. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo do ewentualnych skrótów tekstów przyjętych do publikacji. Poglądy, opinie i przekonania autorów wyrażone przez nich w artykułach nie są opiniami redakcji i wydawcy.

Przedruk lub publikacja w każdej innej postaci materiałów drukowanych w czasopiśmie „Moje Miasto”, tylko za zgodą redaktora naczelnego. Znak graficzny, nazwa i wszelkie prawa zastrzeżone. ©

W 72 rocznicę urodzin Czesława Niemena

Czy mnie jeszcze pamiętasz...

16 lutego przed Pomnikiem Kresowiaków w Parku im. Jerzego Waldorfa spotkali się członkowie Towarzystwa Przyjaciół Wilna i Grodna. Złożono kwiaty, zapalono znicze – czcąc w ten sposób 72 rocznicę urodzin swego Krajana – urodzonego w Wasiliszkach Starych na Białorusi, idola kilku pokoleń Polaków – Czesława Niemena.

Czesław Niemen urodził się jako Czesław Juliusz Wydrzycki 16 lutego 1939 roku na należącej wtedy do Polski Grodzieńszczyźnie. Jego rodzicami byli Antoni Wydrzycki (1896-1960), z zawodu mechanik, m.in. stroiciel fortepianów, i Anna z domu Markiewicz (1897-1986). Miał siostrę Jadwigę (ur. 1926). Śpiewał już w szkole – dziesięciolatce oraz w chórze kościelnym. W latach 1953-54 uczęszczał do szkoły muzycznej w Grodnie.

Został przesiedlony do powojennej Polski w 1958 r. w ramach tzw. drugiej repatriacji. Rodzina Wydrzyckich zamieszkała najpierw w Świebodzinie, potem w Białogardzie i Kołobrzegu, a Czesław znalazł się w Gdańsku, gdzie rozpoczął naukę w średniej szkole muzycznej. Uczył się grać na fagocie. Równocześnie występował w studenckich teatrach, kabaretach i klubie Żak w Gdańsku, śpiewając po hiszpańsku i polsku piosenki latynoamerykańskie akompaniując sobie na gitarze.

Dwie z tych piosenek pojawiły się potem na jego pierwszej płycie.

W 1962 roku odniósł duży sukces na Festiwalu Młodych Talentów w Szczecinie i odbył trasę po kraju z zespołem Czerwono-Czarni (wikipedia.pl).

Tak rozpoczęła się wielka kariera wielkiego Czesława.

Przez wiele lat cała Polska śpiewała, a i dziś nawet młodzież zna jego największe przeboje, m.in. Ten los, zły los – Wspomnienie – Pamiętam ten dzień – Włóczęga – Pod papugami – Jednego serca – Klęcząc przed tobą – Jest coś, co kocham najbardziej – czy wreszcie nieśmiertelny „Dziwny jest ten świat”. Czesław Niemen na najwyższym – nie-



osiągalny dla innych – poziom, wyłożył poezję śpiewaną, bo jak powiedział Folquet z Marsylii (1155-1231): „Wiersz bez muzyki jest jak płyn bez wody”.

Kilka dni później, po spotkaniu w parku, w siedzibie Kresowiaków przy al. Sienkiewicza 19, spotkało się grono fanów rozlicznej twórczości swego idola. Trzeba wiedzieć, że Czesław Niemen – artysta z 42-letnim dorobkiem – był: poetą, muzykiem, wokalistą, kompozytorem, a także... malarzem!



Sylwetkę, najważniejsze „obrazy” z życia artysty i jego dyskografię przedstawił największy chyba fan Niemena – Stanisław Wojcie-

kian – prezes Stowarzyszenia Pro Cultura Non Stop. Pan Stanisław wyświetlił także fragmenty koncertów Niemena na festiwalach w Zielonej Górze (1977) i Sopocie (1990). Widzowie z podziwem chłonili słowa i obrazy. Największe wzruszenie wzbudził film dokumentalny „Czy mnie jeszcze pamiętasz?” – nakręcony w rodzinnych Wasiliszkach Starych. Widzimy w nim małego i młodego Czesława Wydrzyckiego (Niemen – to pseudonim artysty). Wzruszającą brzmia w tym filmie wypowiedzi siostry Niemena, członków rodziny i kolegów zarówno z ławy szkolnej jak i wiejskiej społeczności.

Osoby zainteresowane kulturą wschodnią zapraszamy do odwiedzania siedziby śluskich Kresowiaków, gdzie co tydzień odbywają się ciekawe imprezy i projekcje filmowe.

Zygmunt Kulczewski



Zginęli tragicznie

dokończenie ze str 11

19. Anne Gurd, przy mężu, 95? lat, adres ul. Lutosławskiego 13, zm. 13.03.45r., KS.77.

20. Hans Degenhardt, dr medycyny, chirurg, 50 lat, adres ul. Szarych Szeregów 20, zm. 18.03.45r., KS.88.

21. Degenhardt, przy mężu, 35 lat, adres ul. Szarych Szeregów 20, zm. 18.03.45r., KS.89.

22. Degenhardt, uczeń, 14 lat, adres ul. Szarych Szeregów 20, zm. 18.03.45r., KS.90.

23. Ernst Digler, dr weterynarii, 50 lat, adres ul. Sienkiewicza 6, zm. 17.03.45r., KS.91.

24. Digler, przy mężu, 38 lat, adres ul. Sienkiewicza 6, zm. 17.03.45r., KS.92.

25. Rudolf Hintzler, dr stomatologii, 60 lat, adres ul. Wojska Polskiego 26, zm. 17.03.45r., KS.93.

26. Hedwig Hintzler, przy mężu, 55 lat, adres ul. Wojska Polskiego 26, zm. 17.03.45r., KS.94.

27. Margarete Schneider zd. Schargo, przy mężu, 53 lata, adres ul. Przemysłowa 27, zm. 8.03.45r., KS.96.

28. Otto Doerfer, kupiec, 76 lat, adres ul. Przemysłowa 26, zm. 10.03.45r., KS.104.

29. Gertrud Doerfer, przy mężu, 60 lat, adres ul. Przemysłowa 26, zm. 10.03.45r., KS.105.

30. Otto Breetsch, księgowy rewizor, 64 lata, adres ul. Pod-

górna 10, poch. 24.03.45r., KS.115.

31. Gertrud Breetsch, przy mężu, 51 lat, adres ul. Podgórna 10, poch. 24.03.45r., KS.116.

32. Breetsch, siostra Otto, ? lat, adres ul. Podgórna 10, poch. 24.03.45r., KS.117.

33. Paul Masoth, ?, 70 lat, adres ul. Wileńska 13, zm. 9.03.45r., KS.160.

34. Gertrud Masoth, przy mężu, 65 lat, adres ul. Wileńska 13, zm. 9.03.45r., KS.161.

35. Walter Fredenhagen, wiceburmistrz m. Stolp, ? lat, adres ?, poch. 2.04.45r., KS.183.

36. Fredenhagen, przy mężu, ? lat, adres ?, poch. 2.04.45r., KS.184.

37. Nieznana kobieta znaleziona przez Otto Hagena w opuszczonym mieszkaniu, poch. 13.04.45r., KS.227.

38. Marta Steinhart, wdowa po emeryt. urzędniku, 68 lat, adres ul. Wileńska 22, zm. 10.03.45r., KS.243.

39. Hugo Monseler, dyrektor, ? lat, adres ?, zm. 8.05.45r., KS.267.

40. Hedwig Romeikat, ewakuowana, ? lat, adres Jorckstr. 21, zm. 8.05.45r., KS.268.

41. Ruth Romeikat, ewakuowana z Oltersburga, ? lat, adres Jorckstr. 21, zm. 8.05.45r., KS.269.

42. Gerhard Nerhke, kupiec, ? lat, adres ul. Solskiego 15, zm. 9.03.45r., KS.371.

43. Else Nerhke, przy mężu, 61 lat, adres ul. Solskiego 15, zm. 9.03.45r., KS.372.

44. Sabine Nerhke, dziecko, 1 rok, adres ul. Solskiego 15, zm. 9.03.45r., KS.373.

45. Paula Zoeller, Em. nauczycielka, 58 lat, adres ul. Kołtąja 12, zm. 8.03.45r., KS.744.

46. Willi Nietzsche, technik, 63 lata, adres ul. Kołtąja 12, zm. 29.06.45r., KS.820.

47. Marta Zutz, wdowa, 64 lata, adres ul. Kopernika 11, zm. 9.03.45r., KS.2298.

48. Käte Lange, zameżna, 36 lat, adres ul. Kopernika 11, zm. 9.03.45r., KS.2299.

W dniu wyzwolenia Ślupska, 9 marca każdego roku składane są kwiaty w miejscach upamiętniających ofiary z tamtego okresu. Składane są kwiaty pod pomnikiem rozstrzelanych 22 robotników przymusowych w Łasku

Południowym, pod obeliskiem upamiętniających niewolników III Rzeszy przy ulicy Kołtąja, pod pomnikiem Żołnierzy Armii Czerwonej upamiętniających tych Rosjan, którzy zginęli w okresie II wojny światowej na Ziemi Ślupskiej. Składamy kwiaty pod Pomnikiem Aliantów upamiętniających jeńców przebywających na robotach przymusowych w okolicach Ślupska.

Od kilku lat w tym dniu zapalamy również znicze pod symboliczną mogiłą dawnych niemieckich mieszkańców Stolpu, których szczątki spoczywają w ślupskiej cmentarnej ziemi. W dniu 9 marca również powinniśmy pamiętać o nich, jest to wyraz naszego człowieczeństwa.

Andrzej Obecny



Marsz śmierci

dokończenie ze str 11

żydówka z zamiarem zawiązania szmat u prawej nogi. Butów ona nie posiada; zamiast nich, kolorowe szmaty. Zamiar jej zobaczyła SS-manka z najbliższej eskorty, szcując na nią wilczura. Pies rzucił się na nieszczęsną i przewraca na ziemię. Widzimy, jak kły jego rwą udo nieszczęsnej kobiety. Powstaje krzyk wielu więźniarek; na ratunek nieszczęsnej wybiegają mężczyźni tak z poczekalni jak z biura zawiadawcy stacji. Do nas cywilów podbiegają SS-mani z pistoletami maszynowymi, nakazując natychmiastowy powrót do budynku stacyjnego. Tymczasem pokąsana przez wilczurę Żydówka wstać o własnych siłach nie może; na rękach zamierza wczłgać się do kolumny, ale wysiłek daremny. Jeszcze teraz widzę przed sobą te przestraszone oczy, skierowane w niemym geście wzywania pomocy.

Eskorta litości nie ma; znów w stronę rannej kierują wilczura. Pies jednak nie zdążył; wyprzedziła go kula oddana przez SS-mankę z dalszej odległości. Śnieg różowieje szybko. Z otwartych drzwi budynku dworcowego wysuwają się ludzie na zewnątrz. Krótkie mierzenie się wzrokiem z eskortą konwoju. SS-mani jednak i tym razem zapędzają wszystkich z powrotem, grożąc użyciem broni. Podchodząc pod okna poczekalni wołają, że wyjście na zewnątrz może nastąpić dopiero po przejściu całej kolumny. Do leżącej w śniegu Żydówki podchodzi je-

den z SS-manów, przesywając ją serią swego automatu. Akt ten ma miejsce w odległości zaledwie 8 metrów od okien poczekalni. Na odgłos strzałów kolumna na czas jakiś przyspiesza, by za chwilę wrócić znów do poprzedniego tempa.

Jesteśmy wściekli na własną bezsilność. Na naszych oczach leży trup młodej Żydówki, liczącej nie więcej niż 25 lat. Jest to raczej szkielet człowieka odzianego w łachmany. Cienkie, lśniące szmaty służyły jej za buty, a przecież mróz tego dnia był silny i leżący śnieg szklil się jak tafla grubego lodu. Nie wszystkie zresztą Żydówki miały nogi poobwijane w szmaty. Niektóre miały zwykłe letnie sandały, nocne pantofle. Były i takie, co miały nogi bose. Zagadką na zawsze pozostanie fakt, jak one wytrzymały marsz do Jeżewa? A może gdzieś w drodze pogubiły buty względnie je musiały oddać innym?

Na takie pytanie nikt nie otrzyma nigdy właściwej odpowiedzi. „Marsz śmierci” jak go słusznie nazwaliśmy, trwał około 40 minut. Ile Żydówek przed nami przedelfiladowało, nie wiemy.

Jedno co na zawsze zapamiętałem, to krzyk pędzonych kobiet, głośnie ujadanie wilczurów, świst nahańek, huk wystrzałów. Idąc ciągle w prostym kierunku na zachód, kolumna przecięła tory kolejowe magistrali węglowej, oddalając się w kierunku na Kraplewiec.

Zbigniew Dąbrowski
„Czas Świecia”
www.czasswiecia.pl